Wpisano do kontroli periodyków
2 Rejonowej Bibliotek Publicznej
Łódź - Widzew
Dn. [illegible] 19 68

Dziś w numerze: ● Trochę wody, trochę lasu... ● Krecia robota ● Problem na 33 obroty ● Jak zostałem powieściopisarzem? ● Roboty ● Felietony ● Recenzje

odgłosy

MIESIĘCZNIKOWA ODZNAKA MŁODZI

28. (557)
14. VII. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

ANDRZEJ MAKOWIECKI

OPOLE po raz szósty

W Opolu byłem przed dwoma laty. — Akurat „Odra" spadła z pierwszej ligi. Miasto przeżywało ostry szok. Na płotach, murach, słupach reklamowych było dużo różnych bluźnierstw pod adresem zawodników, w barach lud uderzał w kielich rozpaczy.

Pisałem wówczas, nie bez racji, że festiwal piosenki, który wybuchł nazajutrz po tej tragedii, był czymś w rodzaju opium, narkozy. Rozdygotane miasto przez cztery dni pławiło się w muzyce, w morzu reklam i transparentów. Miasto próbowało zapomnieć, i pisałem o tym nie bez pewnej złośliwości, z pozycji gościa, co to ma w swoim mieście i drużynę pierwszoligową i wielką kulturę.

No, ale w międzyczasie wiele się zmieniło. „Odra" wróciła do ekstraklasy, festiwal piosenki umocnił się, okrzepł. A w Łodzi nastąpił krach ŁKS-u, najprzód spadli hokeiści, teraz znowu piłkarze, a jeśli chodzi o wielkie imprezy, to można od czasu do czasu obejrzeć u nas wystawę rasowych psów.

Dobra. Opolanie mają widocznie większy dryg organizacyjny, więcej pasji w boju o rangę swojego miasta.

2.

Przyjeżdżający do Opola dziennikarze zostali, jak co roku, suto obdarowani. Oprócz folderów, programów i wszelkiego typu przewodników, reklamujących z uporem to, powiedzmy szczerze, piękne i sympatyczne miasto, każdy z nas dostał w dożywocie gustownie wytłaczany w szczerej skórze medalion z herbem Opola, oprawione w masę lusterko, festiwalowy balonik z drucikiem, kółeczko do samochodowego klucza (trzeba będzie, cholera, kupić wóz!), a na dodatek koszulkę z golfem. Gdyby nie to, że na koszulce widnieje twarz Młynarskiego, chodziłbym w niej z radością, a tak, to nie mogę, bo nie jestem słupem reklamowym i Młynarski za reklamę mi nie płaci.

Do „Opola" przyjechałem tuż przed inauguracyjnym koncertem i kiedy odebrałem, co moje w biurze prasowym, nie było już szans, aby zdążyć na uroczyste otwarcie (a chciałem jeszcze przedtem odwieźć bagaż do swojej kwatery w drugim końcu miasta). Nie było szans, bo nie było taksówek, stałem więc bezradnie na chodniku z ciężką walizą w ręce i bluźniłem w duchu. Aż tu nagle podszedł do mnie jeden z opolskich dziennikarzy i chociaż nie znał ani mnie, ani mojego skromnego pisania, zapakował mnie do swego wozu, odwiózł na kwaterę, poczekał aż się umyję i przebiorę do drogi, a potem pojechaliśmy na koncert rozstając się jakby nigdy nic.

Wszystko to razem sprawiło, przyznaję, że zostałem przekupiony, i nie będę pisał źle o festiwalu widząc, jak opolanie celebrują tę imprezę, jak robią wszystko, aby z roku na rok była okazalsza i piękniejsza,

Dalszy ciąg na str. 4

JERZY WILMAŃSKI

PROBLEM na 33 obroty

Przerwę między festiwalami wypełnia cisza. Opustoszała estrada, zamilkły „Alibabki", „Baby Jagi" tudzież Joanna Rawik... Czyżby? A płyty — czarne krążki z winylu, wirujące muzyką?

No właśnie. Przecież to one przedłużały żywot melodii usłyszanej w radio, w telewizji. Dzięki nim mamy pod każdą strzechą Młynarskiego i Niemena, „Żyje się raz" i „Andriuszę"...

Mam drewniane ucho i nie kolekcjonuję płyt — uznałem to za wystarczające kwalifikacje, aby do krainy czarnego krążka zajrzeć bez właściwej kolekcjonerom emocji. A kraina to dziwna. Jedna, ale w trzech postaciach.

„Polskie Nagrania" (3.500 tys. płyt rocznie) są przedsiębiorstwem wiodącym. Druga postać to „Pronit" (2,5 miliona płyt rocznie), ale „Pronit" w Pionkach sam właściwie niewiele znaczy. Tu się tylko sztancuje płyty z oryginałów produkowanych w „Polskich Nagraniach" w starej kamieniczce w Warszawie. Pozostaje trzecia postać „Veriton", ale w płytowych rozważaniach udział jej może być tylko marginesowy zarówno ze względu na małą stosunkowo produkcję (około 200 tysięcy płyt rocznie) jak i na nieco inny profil. Jest to bowiem „dziecko" Stowarzyszenia PAX.

Nie błąkajmy się zatem po Warszawie w poszukiwaniu „Veritonu", nie jedźmy do Pionek, jeśli nie mamy odpowiedniej ilości ministerialnych zezwoleń. Zostańmy na ulicy

Dalszy ciąg na str. 5

ZE ŚWIATA

Zainteresowania radzieckim memorandum, które złożone zostało z okazji podpisania układu o nierozpowszechnianiu broni jądrowej, nie da się porównać z żadną inną inicjatywą na przestrzeni lat. Zawarte w nim propozycje:

— zakazu użycia broni jądrowej,

— wstrzymania jej produkcji i zniszczenia nagromadzonych zapasów,

— ograniczenia strategicznych środków przenoszenia broni,

— zakazu podziemnych eksplozji,

— zakazu lotów bombowców z bronią nuklearną na pokładzie i ograniczenia rejsów łodzi podwodnych w tę broń wyposażonych,

— likwidacji baz nuklearnych,

— utworzenia stref bezatomowych;

— pokojowego wykorzystania dna mórz i oceanów,

wywołały szeroki oddźwięk, przychylny stanowisku ZSRR. Komentatorzy zgodnie podkreślają, że Związek Radziecki znów przejął inicjatywę, wysuwając rozsądne wnioski, które mogą zapoczątkować nową erę stosunków międzynarodowych.

W zasadzie tylko dwa państwa — NRF i ChRL, z różnych zresztą powodów, zareagowały ujemnie. W innych krajach opinia publiczna daje wyraz swemu poparciu.

W opinii komentatorów najwięcej szans realizacji mają: redukcja środków przenoszenia oraz zakaz lotów bombowców z bronią nuklearną. Te dwa wnioski wylicza się jako możliwe w pierwszej kolejności do wynegocjowania.

„Traktat o nierozpowszechnianiu był produktem młodzieńczego okresu wysiłków rozbrojeniowych — pisze „Washington Post". Rozmowy o rozbrojeniach rakietowych — to już okres dojrzałości".

Ogromu nuklearnego problemu nie trzeba udowadniać. Rozmiary niebezpieczeństwa nakreślił raport sekretarza generalnego ONZ — przypomnijmy — przygotowany z polskiej inicjatywy.

Przypuszcza się, że mocarstwa jądrowe dysponują bronią o sile 50 tys. megaton, co odpowiada sile 3 milionów bomb, zrzuconych na Hiroszimę. Inaczej mówiąc na każdy 1 tysiąc ludności globu przypada 1 bomba, podczas gdy dwie zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki uśmierciły 115 tys. ludzi. Już tylko te porównania podkreślają wagę radzieckich propozycji.

W atmosferze nadziei, spowodowanej memorandum, przebiegła czterodniowa wizyta prezydenta Nasera w ZSRR, pierwsza po czerwcowej agresji, oficjalnie będąca rewizytą za pobyt Podgornego w Zjednoczonej Republice Arabskiej.

Komentator radia kairskiego tak określił cel wizyty:

„Podróż prezydenta Nasera do Moskwy jest misją pokojową, ponieważ podróż ta odbywa się w chwili, kiedy ZRA jasno i bez dwuznaczności powiadomiła, że gotowa jest przystąpić do zrealizowania rezolucji Rady Bezpieczeństwa w sprawie Bliskiego Wschodu... Ponadto zdecydowanie ZRA i państw arabskich w sprawie zlikwidowania śladów agresji, jak i poparcie bez zastrzeżeń tej polityki przez Związek Radziecki, stanowią niezaprzeczalny, pozytywny wkład w dzieło pokoju i sprawiedliwości".

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na to, że prasa zachodnia bardzo żywo komentuje słowa min. Riada wypowiedziane w poprzednim tygodniu w Kopenhadze: „Akceptujemy realia — Izrael jest jednym z nich". Zdaniem wielu obserwatorów — jest to zapowiedź nowej inicjatywy na rzecz zakończenia kryzysu na Bliskim Wschodzie, uznanie potrzeby politycznego rozwiązania problemu.

Prez. Naser na przyjęciu wydanym na jego cześć w Moskwie najobszerniejszy fragment swego wystąpienia poświęcił aktualnym zadaniom narodów arabskich, podkreślając, że chodzi tu zwłaszcza o „całkowitą likwidację skutków agresji, niezależnie od związanych z tym trudności i bez względu na związane z tym ofiary".

Leonid Breżniew, przemawiając na tym samym przyjęciu, wysoko podniósł wysiłki rządu ZRA i Nasera, zmierzające do uregulowania konfliktu zgodnie z postanowieniami Rady Bezpieczeństwa oraz do zapewnienia antyimperialistycznego frontu państw arabskich przeciwko agresji Izraela.

Już dziś można stwierdzić, że moskiewskie rozmowy będą miały poważny wpływ na rozwój sytuacji bliskowschodniej.

Dotychczas nasz przegląd przebiega pod znakiem nadziei. Niestety — nie można tego powiedzieć o rozmowach amerykańsko-wietnamskich w Paryżu. Odbyło się już 11 spotkań, ale nieuchwytny jest żaden postęp.

Dlaczego?

Po prostu dlatego, że USA mówią w Paryżu o wszystkim, tylko nie o bezwarunkowym zaprzestaniu ataków lotniczych na terytorium DRW. A to przecież — z czego zdają sobie sprawę politycy amerykańscy — jest zasadniczym warunkiem sprowadzenia konfliktu na tory pokojowego rozwiązania.

W polityce częstokroć identycznie brzmiące sformułowania znaczą co innego. W czasie paryskich spotkań delegacja USA wiele mówi o chęci powrotu do Układów Genewskich z 1954 roku. Co jednak pod terminem „powrót" rozumie Waszyngton? Zaniechanie działań wojennych i nic więcej. A więc w dalszym ciągu chce on utrzymać rozbicie Wietnamu, w południowej strefie kraju pozostawiając swe bazy i zależne od niego rządy. Powrót w tym wypadku byłby równoznaczny z cofnięciem do okresu sprzed interwencji.

Trzeba mieć naprawdę złą wolę, aby nie rozumieć, że nie po to walczył naród wietnamski, stawiając mężnie czoła amerykańskiej nowoczesnej technice militarnej, aby teraz powrócić do punktu wyjścia. Punktu niezgodnego z Układami Genewskimi, które przecież przewidywały zjednoczenie kraju w wyniku ogólnonarodowych wyborów i militarną jego neutralizację, tzn. zakaz udziału w sojuszach wojskowych.

Paryskie rozmowy nie posunęły dotychczas ani o krok kwestii Wietnamu, choć świat wiązał z nimi duże nadzieje.

W. SŁAWSKI

LISTY do REDAKCJI

Burza w szklance wody czyli jeszcze o ŁKS

SZANOWNY
PANIE REDAKTORZE!

Przeczytałem z zainteresowaniem artykuł red. Frejdlicha o klęsce ŁKS. Artykuł słuszny, ale zbyt — jak na mój gust — kulturalny. Należało mocniej rąbnąć w konserwatyzm działaczy sportowych, w ich brak odwagi przy szukaniu środków zaradczych. Nie bez winy są też sami piłkarze. Jako kibic i stały obserwator łódzkiego futbolu od lat uważam, że piłkarze ŁKS nie rozwijają swoich umiejętności. Nawet atutowy gracz drużyny, Sadek, jest piłkarzem bardzo nierównym. Ma mecze bardzo dobre i zupełnie słabe. A przecież wiadomo, że wyszkolony piłkarz nie zejdzie nigdy poniżej pewnego poziomu (nawet gdy danego dnia nie jest w formie). W każdym razie hańba, że Łódź została bez drużyny I-ligowej i dobrze, że „Odgłosy" zajęły się tą sprawą tak szczegółowo. Proszę o dalsze artykuły na temat łódzkiego sportu.

Łódź, 7. VII. 68 r.

Kibic ze zranionym sercem

(nazwisko znane redakcji)

DROGA REDAKCJO!

Prawdziwym szokiem było dla mnie przegranie meczu z Pogonią. Ponieważ już po końcowym gwizdku pana Banasiuka byłem pewien, że ŁKS poleci. Ponieważ wiedziałem, że Szombierki „sprzedadzą" punkty Wiśle. Proszę mi wierzyć, że punkty były „kupione". Bo proszę sobie wyobrazić, że Wisła w rundzie wiosennej w meczach rozegranych na wyjeździe nie strzeliła nawet bramki. Na 5 meczów 3 remisy i 2 porażki i bramki 0:3. I nagle jadą do Bytomia i wygrywają z Szombierkami aż 2:0. A Szombierki z reguły rzadko przegrywają na własnym boisku np. w tydzień później wygrywają z bardzo silną VSS Koszyce 3:2.

Takim meczom powinien położyć kres PZPN. Co do Stali to punkty raczej były „wywalczone". Stal w przeciwieństwie do ŁKS umie grać na własnym boisku.

Moim skromnym zdaniem duży wpływ na słabą grę ŁKS miało odejście trenera Janeczka, który w sezonie 66/67 doprowadził ŁKS do ostatnich granic. Więcej tych zawodników nie mógł wytrenować, nauczyć. Widocznym zjawiskiem było stopniowe pogorszenie się poziomu już jesienią 67 roku (duży wpływ miała tu absencja Sadka, który został kontuzjowany w meczu z Wisłą). Od momentu, kiedy Sadek nie grał, ŁKS stracił masę punktów (w 6 meczach punkty 1:11 i bramki 5:14). Co to za klub, żeby absencja jednego zawodnika miała taki wpływ na grę drużyny. To dowodzi jak słabe rezerwy posiada ŁKS, to musiało w końcu się zemścić.

Skoro nie ma się własnych rezerw, trzeba się wzmocnić zawodnikami z innych klubów. Czynią to wszystkie kluby np. Wisła pozyskała Sputo z Wawelu i Pietraszewskiego ze Stali Mielec, Stal Rzeszów bardzo dobrego Kozerskiego z Krasnika. Dlaczego nie czyni tego ŁKS? To już chyba sprawa działaczy.

Także zły był wybór trenera. Pan Pegza, jak mi wiadomo, nie miał do czynienia z prowadzeniem drużyn ligowych. Opiekował się z reguły młodzieżową reprezentacją Polski, a to już całkiem inna sprawa. Do reprezentacji dostaje „gotowych" zawodników, trenuje ich przed meczem 2 i 3 dni, czasami tydzień, a w klubie musi przeprowadzać cały cykl szkoleniowy. I sprawdziło się, że p. Pegza nie nadaje się do prowadzenia drużyny I-ligowej. Nie ma po prostu doświadczenia do prowadzenia drużyny I-ligowej o czym przekonał się ŁKS i my, łodzianie, sympatycy piłki nożnej.

A. B.
Kibic

PANIE REDAKTORZE!

To za słabo, za delikatnie. Kibice nie są dziećmi, rozumieją, że piłka jest okrągła, ale... Przecież „amatorski" futbol utrzymywany jest przez nas wszystkich, za społeczne pieniądze. Drużyny ligowe to nie to samo co piłkarze z Brzany Dolnej czy Pajęczna — przykładać do nich trzeba inną miarę i inne wymagania... Mamy prawo się oburzać, że ludzie, którzy nie mają innych obowiązków jak tylko dobrze grać w piłkę w tę piłkę grają źle — lepiej natomiast grają w brydża. Nikt nie żąda od nich cudów — niech tylko wypełniają swój nieźle płatny obowiązek premiowany przecież wyjazdami zagranicznymi i społecznym zainteresowaniem. To wszystko trzeba było wyraźnie powiedzieć w artykule red. Frejdlicha a nie bawić się w grzeczności.

Andrzej Kotala
Łódź

SZANOWNI REDAKTORZY!

Dziwi mnie ogromnie rzesza kibiców wyciskająca łzy, zabiegająca nawet o rozszerzenie ligi, domagająca się założenia protestu u władz piłkarskich, domyślają się cudów w ostatniej kolejce ligowej itd. itd.

Po co to wszystko. Byłem i nadal pozostanę wiernym kibicem ŁKS. Tak jak wielu moich kolegów czekaliśmy tej chwili w bieżącym roku i życzyliśmy swojej drużynie spadku do II ligi. Za to wszystko czym nas uraczyła na boisku w ciągu całego sezonu piłkarskiego. Można mieć większy żal do drużyny i chyba jeszcze większy do kierownictwa. Trzeba umieć wkraczać w odpowiedniej chwili w krytycznej sytuacji i działać. Co zrobiono — prawie nic. Oni wprowadzili drużynę do niższej klasy.

Niech panowie optymiści nie zacierają rąk z uciechy i nie będą tacy pewni, że inne drużyny będą tak łaskawe i gotowe oddawać swoje punkty zacnemu ŁKS. Ta pewność może zawieść. Rywalizacja w II lidze będzie w tym roku wyjątkowo trudna. Panowie kierownicy — specjaliści od piłki będą musieli dobrze uważać, żeby ŁKS nie stoczył się po linii Radlina, Lechii czy Lecha. O zupełnym odmłodzeniu drużyny nie powinno być mowy, ponieważ takowych nie mamy zawodników. Ciekawe! — Województwo takie duże, a my nie potrafimy rozejrzeć się w terenie za jakimiś talentami. Czyżby u nas nie było. Nieprawda! Jeżeli zdobędziemy zawodnika z innego okręgu, to nie umiemy go dłużej zatrzymać.

Może teraz z innej beczki! Jak młodzież może w pełni korzystać z piękna sportu, kiedy przed nią zamyka się bramy stadionu. Przykład, proszę bardzo. Ile biletów wyrzuca się do sprzedaży po cenie niby to „ulgowej" a przecież tak drogich. Czy stać naszych młodych kibiców na taką gratkę. Chyba nie wszystkich. Nie dziwmy się zatem, że ta część młodzieży atakuje — szturmuje bramy stadionu w mniej kulturalny sposób. Jest goniona przez władze porządkowe tu i ówdzie. Żal serce ściska kiedy taki pan porządkowy łapiąc młodzieńca, wyrzuca go przez barierę jak piłkę w dół na oczach tysięcy kibiców.

To jest chyba tylko z grubsza to co chciałem napisać, co mnie najbardziej trapiło.

Zawsze mimo wszystkiego wierny kibic J. K.

SZANOWNA REDAKCJO!

Radzę zorganizować turniej dzikich drużyn, których rozgrywki będą obserwowane przez prawdziwych entuzjastów piłkarstwa. Najlepszym talentom powinno się zaproponować wstąpienie do nowej szkółki, która na pewno wznowi swoją działalność dla dobra piłkarstwa łódzkiego.

Przy Hali Sportowej istniała kuźnia przyszłych talentów piłkarstwa. Kiedy ci młodzi piłkarze przekroczyli pewną granicę wieku, który zezwalał im na wystąpienie w klubach, nastąpiło bardzo złe posunięcie „naszych działaczy". Zawodników uzdolnionych, zgranych, rozsiano po wielu klubach łódzkich. Chłopcy ci gdzieś poginęli i o nielicznych czyta się w prasie. Gdyby tych zawodników wcielić do jednego klubu, na pewno nie przeżywalibyśmy tej goryczy co przeżywa piłkarstwo Łodzi dzisiaj. Drugie co do wielkości miasto w Polsce nie może się poszczycić jedną dobrze grającą drużyną w pierwszej lidze. Zawodników w drużynie pierwszoligowej ŁKS było mało i każda kontuzja gracza sprawiała jej trenerowi dużo kłopotu, gracz po wyleczonej kontuzji, nigdy nie był graczem pewnym 100-procentowo. Bardzo często unikał ostrych starć w obawie odnowienia się kontuzji. Z tej przyczyny gra zespołu była niemrawa i często prowadzona jedną stroną boiska, co w nowoczesnym piłkarstwie jest nie do pomyślenia.

Jerzy Olczak
Łódź 12, ul. Prądzyńskiego 29

JAN KOPROWSKI

TROCHĘ WODY TROCHĘ LASU

Na temat wczasów zapisano i zadrukowano już tony papieru. Rok rocznie w porze lata ukazują się artykuły, analizujące ten ważny problem, a od czasu do czasu socjologowie i badacze wydają całe rozprawy książkowe (np. ostatnio Jerzy Sierpiński ogłosił, nakładem CRZZ, tom pt. „Wczasy").

Piszącego te słowa nie interesują sprawy ogólne, dostatecznie chyba omówione, jak idea i znaczenie wczasów, czy też ich aspekty wypoczynkowe i wychowawcze. Chodzi mi o rzeczy konkretne, a mianowicie: gdzie i kiedy łodzianie najchętniej jeżdżą na wczasy oraz w jakim stopniu korzystają z wczasów robotnicy naszych zakładów pracy. W związku z tym odbyłem szereg rozmów, m. in. z kierownikiem łódzkiego Biura Skierowań, Franciszkiem Juroszkiem, z dyrektorem Ośrodka Wczasowego w Spale, Zdzisławem Pigoniem i z niektórymi przedstawicielami fabrycznych rad zakładowych. Wiadomości, tą drogą uzyskane, przedstawiam poniżej, opatrując je własnymi spostrzeżeniami i przemyśleniami. W końcu sam również jeżdżę na wczasy i mam swoje na ten temat uwagi.

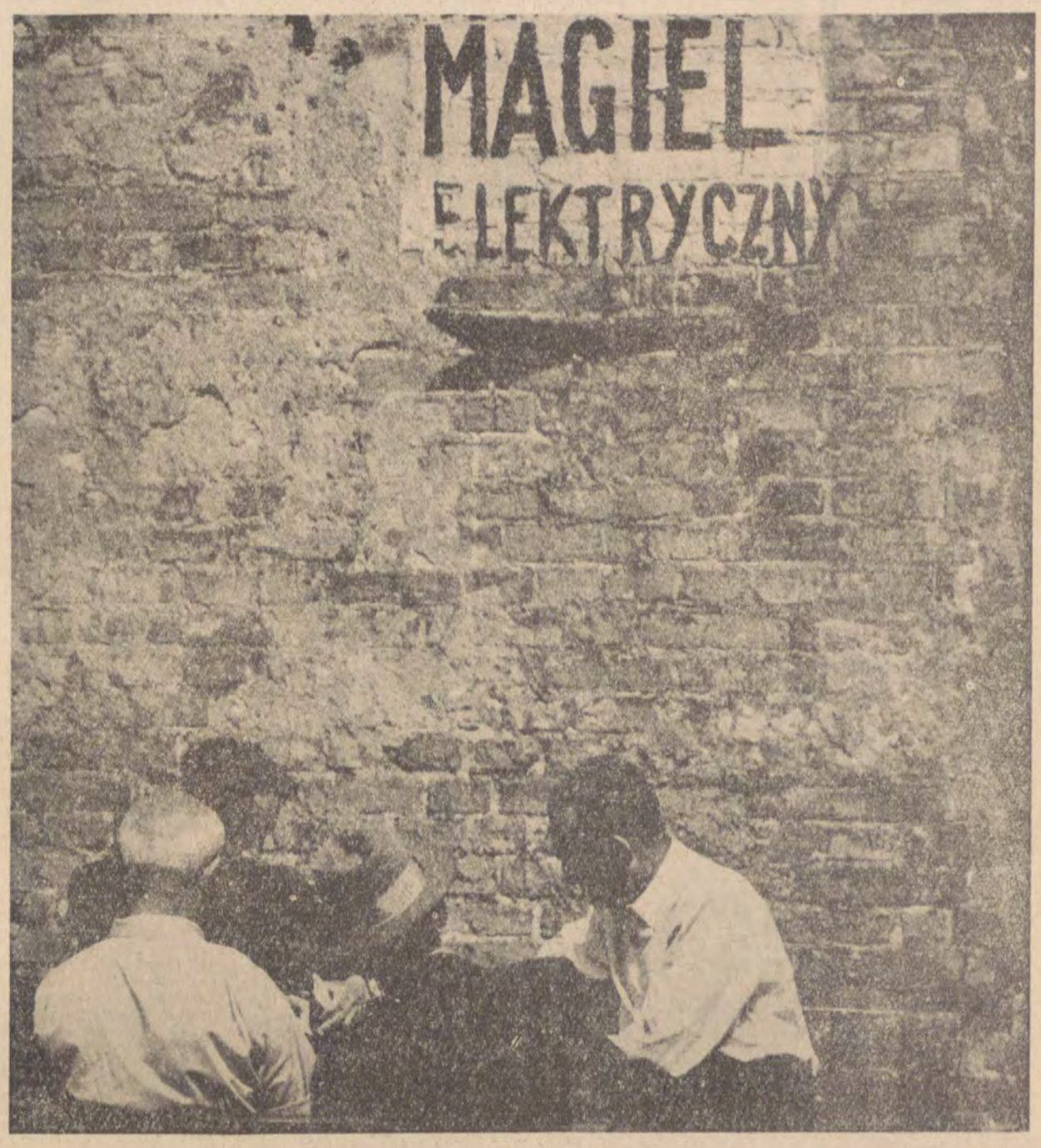

Z TEKI ŁTF — *Fot. K. Janaszewski*

Jedenaście lat temu, w 1957 roku, wyjechało na wczasy z Łodzi około 36 tysięcy ludzi, w tym 33 proc. robotników. W roku ubiegłym, 1967, ilość wyjeżdżających z naszego miasta wzrosła i wynosiła ok. 48 tysięcy, w tym robotników 51 proc. Jeżeli chodzi o ogólny udział Łodzi i województwa we wszystkich skierowaniach krajowych, kształtuje się on w granicach 17 proc. Dodajmy od razu, dla porównania, że Warszawa otrzymuje 20 proc., a Katowice 23 proc. skierowań na wczasy w skali ogólnopolskiej. Wynika z tego jasno i niezbicie: w zakresie przydziału miejsc na wczasy nie znajdujemy się w czołówce co może oznaczać, po pierwsze, że łodzianie nie garną się na wyjazdy tak chętnie jak warszawiacy i ślązacy, albo, po drugie, że w przydziale tym jesteśmy nieco pokrzywdzeni. Nie chcę wchodzić w rozpatrywanie tego ostatniego zagadnienia, które dla naszych celów nie jest najważniejsze. W każdym razie, czy jest tak, czy inaczej, zarówno mieszkańcy Łodzi jak i województwa nie zasmakowali jeszcze w korzystaniu z wypoczynku wczasowego w takim stopniu jak mieszkańcy innych rejonów naszego kraju.

Jeśli chodzi o odpłatność za pobyt na wczasach, wygląda ona różnie, w zależności od zarobków pracownika. A więc najniższa opłata: 120 zł, najwyższa 600 zł, za dwa tygodnie. Wczasy pełnopłatne wynoszą 840 zł i stwierdzimy, że amatorów wczasów pełnopłatnych jest w sezonie letnim bardzo dużo. Nie zawsze można uwzględnić ich zgłoszenia. Jasne, że na wczasy pełnopłatne reflektują przede wszystkim ludzie lepiej zarabiający czyli głównie z zawodów technicznych, medycznych, wolnych i artystycznych. Wczasy pełnopłatne organizują również spółdzielnie „Turysta" i „Gromada", ale koszty pobytu kształtują się tam znacznie drożej, niż w instytucji Funduszu Wczasów Pracowniczych. Niektórzy twierdzą, że wprawdzie „Turysta" i „Gromada" żądają większych opłat, ale za to lepiej i obficiej karmią. Tego argumentu nie można jednak brać poważnie, gdyż zarówno uczestnicy wczasów z FWP jak i wspomnianych spółdzielni chwalą sobie warunki, utrzymanie i jedzenie lub gania. Zależy to, jak dowodzi doświadczenie, od kierownictwa danego ośrodka wczasowego, od jego troski i zapobiegliwości, a wreszcie od wymagań i nawyków samych wczasowiczów, które przecież bywają bardzo zróżnicowane.

W bieżącym, 1968 roku, skorzysta w Polsce z wczasów FWP ponad 566 tysięcy, a dalsze ponad półtora miliona wyjedzie na wczasy do domów zakładowych, na kwatery zorganizowane i inne. Nie jest to ilość mała, ale niewystarczająca, gdyż cokolwiek by nie powiedzieć, idea wczasów bardzo się upowszechniła i z roku na rok zwiększa się liczba chętnych na wyjazdy.

GDZIE I KIEDY

Prawie wszyscy, wyjeżdżający na urlopy wczasowe, pragną pobytu nad jeziorem, lub nad morzem. Szczególnym więc powodzeniem cieszą się miejscowości nadmorskie (wzdłuż całego Bałtyku), pojezierze Mazurskie i Augustowskie (choć to ostatnie, o dziwo, mniej od innych), wreszcie ziemia kaszubska i Bory Tucholskie. Natomiast tzw. miejscowości suche jak Zakopane, Szklarska Poręba, Karpacz znajdują się w czasie sezonu letniego w niełasce, o ile chętnie przyjeżdżają do nich ludzie zimą, o tyle z mniejszym zapałem udają się tam w czerwcu, lipcu i sierpniu czyli w miesiącach szczytowego nasilenia wczasów. Tymczasem właśnie na Dolny Śląsk kieruje się aż 20 proc. wczasowiczów, bo jest to teren od dawna do celów tych dobrze przygotowany. Jako patriota Dolnego Śląska nie mogę tego zjawiska niechęci zrozumieć. Dla mnie tereny dolnośląskie, a osobliwie obszar karkonoski to jeden z najpiękniejszych zakątków Polski i to zarówno zimą jak i latem. A nawet latem bardziej niż zimą. No tak, ale de gustibus non est disputandum. Co podoba się mnie, nie podoba się innym.

Największym powodzeniem cieszą się, zwłaszcza wśród robotników wczasy rodzinne, ale tych właśnie jest mało. Na 8000 skierowań w każdym z trzech głównych miesięcy letnich (czerwiec, lipiec, sierpień) przeznaczonych dla łodzian na wczasy rodzinne przypada ok. 23 proc. czyli mniej, niż wynosi zapotrzebowanie. Największe skupiska wczasów rodzinnych znajdują się nad morzem w Pobierowie, Niechorzu i Rewalu. Oczywiście miejscami dla rodzin dysponują również inne miejscowości, a więc, na przykład, Spała rezerwuje dla małżeństw z dziećmi 300 miejsc, Kolumna — 220, w Szlarskiej Porębie dwa domy oddano do dyspozycji rodzinom, w Karpaczu — również dwa domy, w Mikuszowicach Beskidzkich — dwa domy, w Duszniikach — jeden dom, ponadto przewidziano dla rodzin pewną ilość miejsc w Michałowicach i Jagniątkowie na Dolnym Śląsku oraz w Piwnicznej i Żegiestowie. Warto chyba jeszcze wymienić Łąck koło Gostynina, gdzie w dawnym pałacyku Rydza — Śmigłego można ulokować sto wczasujących rodzin.

Przy niektórych ośrodkach wczasowych (m. in. w Spale) buduje się domki campingowe, a wreszcie, abyśmy mieli pełne wyobrażenie o możliwościach wyjazdowych, należy zauważyć, że istnieją szanse wypoczynku w kwaterach wynajętych z bazą wyżywieniową przy domach FWP oraz w kwaterach zorganizowanych z bazą wyżywieniową przy gospodarstwach GS (tzw. wczasy wiejskie). W ogólności jednak trzeba powiedzieć, że FWP nie prowadzi budownictwa nowych domów wypoczynkowych. Jedyny wyjątek stanowią tu Zakopane i Kołobrzeg, gdzie dwie nowe budowle przeznaczone na wczasy znajdują się w stadium realizacji. Otwiera się, naturalnie, nowe ośrodki wczasowe, jak np. w Bukownie koło Olkusza, ale i one nie mogą zaspokoić rosnących wciąż potrzeb wczasowo - wypoczynkowych. Gdy mowa o Łodzi, wypada dodać, że oprócz skierowań z FWP, organizują wczasy dla swoich podopiecznych Związki Zawodowe Włókniarzy, Budowlanych, Metalowców, Spożywców, Chemików i Związek Pracowników Leśnych. Mają też swoje ośrodki wczasowe niektóre większe zakłady pracy, na przykład Zakłady im. Marchlewskiego dysponują ośrodkiem wczasowym koło Inowłodza.

WYPOCZYNEK, ZABAWA, NUDA

Kto sądzi, że na wczasy ludzie jeżdżą jedynie dla wypoczynku, ten się grubo myli. Obserwacja zachowania się wczasowiczów wskazuje, iż różni ludzie różne mają cele. Oczywiście większość wypoczywa, to jasne. Wypoczywa, to znaczy długo śpi, odbywa spacery, opala się, zażywając upragnionego spokoju. Prawdziwym wypoczynkiem jest życie w tempie niejako zwolnionym, bez pośpiechu, bez nerwowości, która tak bardzo daje nam się w ciągu roku we znaki. Ale niemała ilość wczasowiczów przyjeżdża po to, aby się rozerwać i zabawić. Żonaci mężczyźni zdejmują obrączki z palców i udają kawalerów lub wdowców do wzięcia. Nastawieni na „podrywanie", rozglądają się bez przerwy za płcią nadobną, wkrótce też upatrzą sobie odpowiednią partnerkę „do przygruchania". Odnosi się to również, choć w mniejszym stopniu, do kobiet, które pobyt na wczasach traktują jako okazję do nanizania romansu. Jakie są tego skutki — wiemy. Albowiem bywa i tak, że romans wczasowy doprowadza do rozwodu lub komplikacji w pożyciu małżeńskim. Jeszcze inna kategoria to zamiłowani karciarze. Ci przyjeżdżają na wczasy, aby się wygrać do woli. Dnie i noce przesiadują w świetlicy lub, częściej w pokoju na niekończących się partiach brydża. Przypominają mi oni pewnego mojego znajomego, który udał się autokarem na wycieczkę zagraniczną do Włoch. Kiedy wrócił i spytałem go, co widział, odpowiedział z rozbrajającą szczerością: „Nic. Cały czas graliśmy w karty". Ale są i tacy, co nie wiedzą, co z sobą zrobić. Nie umieją lub nie chcą odpoczywać, a nie stać ich na to, by gonić za przygodami i romansami. Są to ludzie, którzy się nudzą. Łażą z kąta w kąt, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Tym ludziom najbardziej potrzebna jest opieka instruktorów kulturalno-oświatowych. Organizowanie atrakcyjnych zajęć (wycieczki, odczyty, spotkania, gry i zabawy) są ważnym czynnikiem życia wczasowego. Wszystko w tym względzie zależy od kultury i pomysłowości instruktora. No i od jego fachowego przygotowania. Rzecz ta przedstawia się różnie w różnych ośrodkach wczasowych. Na ogół jednak kultura i rozrywka na wczasach nie należą do mocnych punktów programu. Byłem po wojnie co najmniej kilkanaście razy na wczasach, za każdym razem w innej miejscowości. Nie przesadzę, jeśli powiem, że nie udało mi się spotkać instruktora od spraw kulturalno-oświatowych, który by znalazł się na wysokości zadania. Niekiedy odnosiłem wrażenie że ludzie ci sami nudzą się śmiertelnie, ich kosmiczna nuda udziela się także innym. Kiedyś, przed laty, ośrodki wczasowe przeprowadzały ankiety wśród przebywających na wczasach, ale dawno już ankiet tych zaniechano. Otóż przypominam sobie, że dość częstym zjawiskiem w odpowiedziach ankietowanych były skargi na brak atrakcyjnych zajęć kulturalno-oświatowych. Z pewnością wiele się w tym względzie zmieniło na lepsze, ale czy tak bardzo na lepsze, śmiem wątpić.

SPRAWY TRUDNE I WSTYDLIWE

Jednym z istotnych czynników wychowawczych na wczasach jest to, że spotykają się tam ludzie z różnych stron kraju, różnych środowisk społecznych i zawodowych, różnego wieku i poglądów. Fakt ten posiada ogromne znaczenie dla wytwarzania się kultury życia zbiorowego i lepszego poznania grup społecznych i zawodowych między sobą. I tutaj chciałbym dotknąć sprawy, która bynajmniej nie znikła z życia wczasowego. Chodzi mi, mianowicie, o pewne przejawy mentalności, zwanej niegdyś mentalnością krawaciarską. Dla ludzi tych, rekrutujących się głównie, choć nie wyłącznie, ze środowisk małomieszczańskich, dorobkiewiczowskich i z tzw. pseudointeligencji, podstawowym miernikiem wartości człowieka jest jego ubiór, umiejętność operowania nożem i widelcem, paplanina towarzyska o wszystkim i niczym. Otóż w takim otoczeniu źle się czuje wielu robotników i ludzi ze wsi, którzy są niekiedy gorzej ubrani, nie posiadają należytego obycia towarzyskiego i nie zawsze wiedzą, jak znaleźć się w takiej lub innej sytuacji. Znam wypadki, kiedy robotnik zgłaszał w kierownictwie domu wczasowego rezygnację z dalszego pobytu lub prosił o przeniesienie do innego pokoju, a często i do innego stolika, gdyż pozostali współtowarzysze wyraźnie od niego stronili a nieraz odnosili się doń wręcz z pogardą. Sądzę, że trzeba o tym powiedzieć otwarcie. Ten kołtuński stosunek do człowieka, który nie z własnej winy nie przyswoił sobie pewnych prawideł życia towarzyskiego, nie należy do przeszłości. Pleni się on w dalszym ciągu właśnie na wczasach, zatruwając życie robotnikom i chłopom — nierzadko ludziom o głębokiej kulturze wewnętrznej i wrodzonej delikatności, których jedynym „przewinieniem" jest to, że nie dosyć zręcznie potrafią operować nożem i widelcem lub, że spodeń mają niezbyt wąski.

Myślę, że ten intymny obszar życia wczasowego nie został jeszcze dostatecznie przepatrzony i niewiele zrobiono, aby przedsięwziąć środki zaradcze. Nie zwracają na te sprawy należytej uwagi referenci kulturalno-oświatowi, nie widzą lub nie chcą widzieć tych zagadnień socjologowie i specjaliści od problematyki wczasowej.

Wczasy są osiągnięciem tak wspaniałym i tak się stale rozwijającym, że trzeba zrobić wszystko, aby ludziom było tam i co raz lepiej i coraz piękniej.

OPOLE po raz szósty

Dalszy ciąg ze str. 1

i aby piękniejsze i okazalsze było ich miasto. Z drugiej jednak strony należy pamiętać, że Opole Opolem a festiwal festiwalem. To pierwsze daje tylko oprawę, to drugie jest tyglem, w którym mieszcza się interesy wielkich, nieopolskich potentatów piosenki.

3.

Zresztą, jak oglądałem dotąd trzy festiwale opolskie i trzy sopockie, był to najsympatyczniejszy i najciekawszy festiwal, znakomicie wyreżyserowany przez naszego rodaka Janusza Rzeszewskiego (mówił kiedyś, że mu na mojej opinii nie zależy, ale niech tam!), a jeśli chodzi o scenografię Masłowskiego, to nic nie powiem, bo co się będę wymądrzał. Opowiem wam za to parę plotek.

No więc pewnego stołecznego publicystę, znanego z czystości i wytwornych manier, poniosło któregoś dnia nad ranem w miasto. Było mu sennie, a do domu daleko, ale spotkał na drodze otwarty wóz—chłodnię, więc wlazł tam odważnie, aby się zdrzemnąć. Ktoś go zatrzasnął, lodówa zassała i jak go wydobyli po paru godzinach był zupełnie sztywny. Ale nie martwcie się. Żyje i opowiada o swojej przygodzie.

Innym niemuzycznym szlagierem festiwalu była przygoda Gwoździa, któremu naprawdę gorąco współczuję, że mu jakiś cwaniak buchnął nowego „Moskwicza" ze strzeżonego parkingu. Razem z autem szlag trafił tradycyjnie przyznawana wpływowym osobistościom nagrodę Gwoździa (plus dwie parasolki i koc), jak głosi komunikat, za „wybitne zasługi położone przy organizacji festiwali opolskich". Gwóźdź znalazł się bardzo pięknie i w obliczu tragedii zachował olimpijski spokój.

Dom Mody „Telimena", prezentujący z powodzeniem festiwalowej publiczności piękne kreacje i nie mniej piękne łódzkie dziewczyny, ufundował nagrodę w postaci sukni dla jednej z laureatek festiwalu. Ale pani w tym roku wypadły słabo, cały bank z nagrodami zagrabili (i słusznie) mężczyźni. I teraz nie wiadomo, co robić z tą kiecką, podobno przywdzieje ją na sopockim festiwalu (chłop okazji nie przepuści) laureat pierwszej nagrody, Kazimierz Grześkowiak

A na pożegnalnym bankiecie znowu, to jedna z pięknych modelek „Telimeny" wręczyła na estradzie naręcz kwiatów prezesowi Sokorskiemu, który pocałował ją dwukrotnie w usta, nie wiem teraz komu bardziej zazdrościć: modelce czy panu prezesowi? Piszę o tym ośmielony improwizowanym i błyskotliwym przemówieniem Włodzimierza Sokorskiego, z którego wynika, że można być wybitną osobistością i mieć przy tym poczucie humoru.

No, ale dosyć tych plotek. Przejdźmy do rzeczy poważnych.

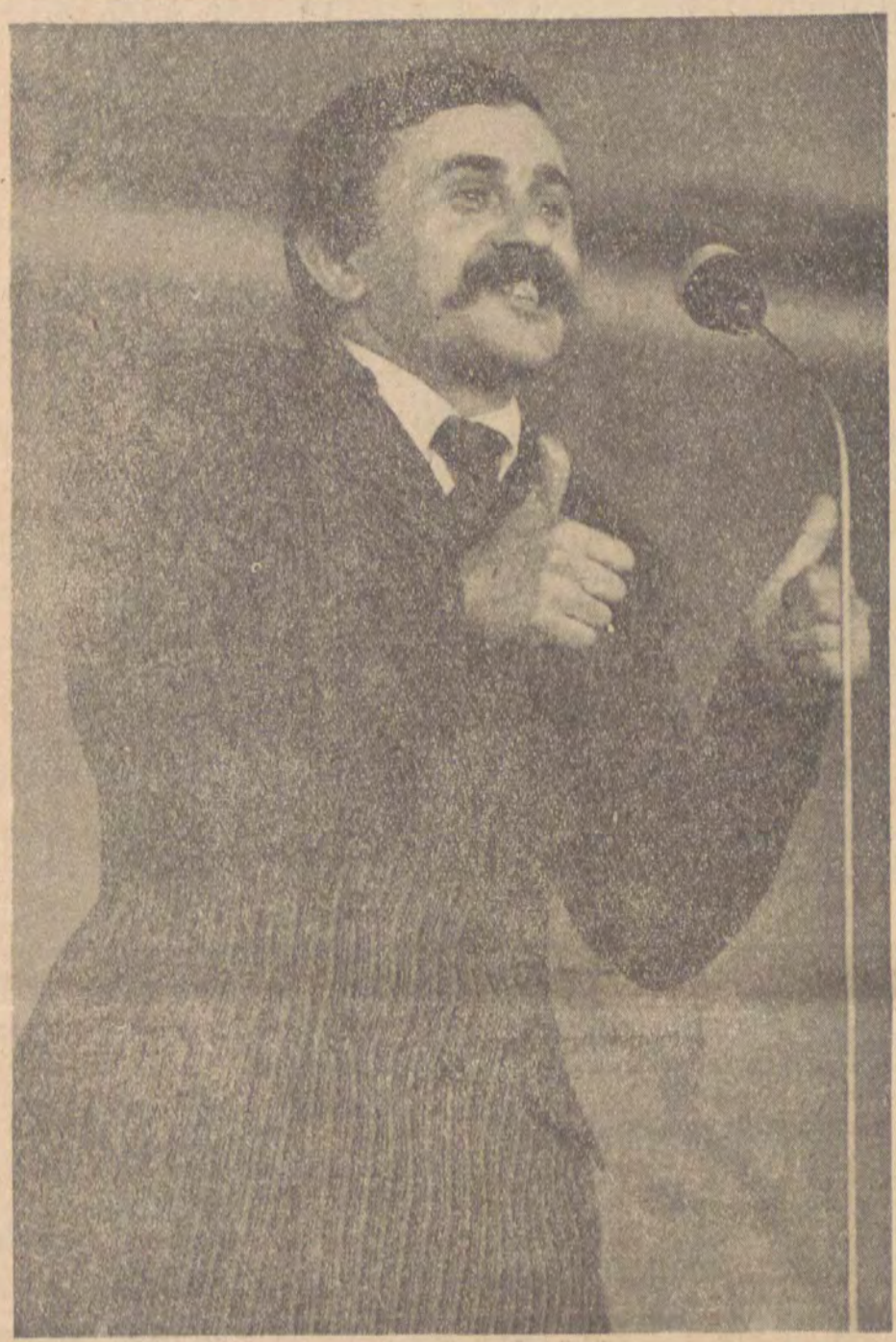

Foto: A. Dębowski

Na firmamencie pokazały się dwa meteory, których światła, jakby to napisał gazetowy skryba, „przyćmiły blask Chyły i Młynarskiego" Po eksplozji zachwytów nad autorem „Och, ty, w życiu!" kolosalną, nienotowaną dotąd popularność zdobył Kazimierz Grześkowiak i jego dwie piosenki: „Odmieniec" i „Chłop żywemu nie przepuści". Co na drodze i się rucha, to „jo ze szwagrem" przydepnę albo kantem łapy w łeb. Teksty te, aczkolwiek niebywale dowcipne, mają w sobie coś z niebezpiecznego uogólnienia i wcale się nie dziwię, że w czasie koncertu na prowincji ludzie pogonili Grześkowiaka orczykami.

Drugim meteorem kabaretowej piosenki jest Jan Pietrzak („Spokojnie chłopie", „Za trzydzieści parę lat"), nagrodzony przez Komitet do Spraw Radia i Telewizji. Totalna bomba! — jak mówią klezmerzy — rakieta! Pietrzak śpiewa bardzo spokojnie i bardzo ciepło, nie trudno wzruszyć się słuchając jego mądrych i jakże prawdziwych tekstów.

Skoro już mowa o popularności, to wśród zespołów beatowych niepodzielnie królowali „Trubadurzy" i grupa skiflowa „No to co". W czasie występu zespołu konkurencyjnego młodzi entuzjaści big-beatu wznieśli transparent: „Czerwone Gitary weźcie korepetycję u Trubadurów"! Pamiętam, jak w sześćdziesiątym szóstym roku wróżyłem „Trubadurom" karierę pisząc, że niedługi już dzień, kiedy ci sympatyczni chłopcy wejdą na parnas muzyki młodzieżowej. Weszli. Nagrali cztery płyty, robią muzykę do filmu Wajdy z niezapomnianym Cybulskim, ich reklama ukaże się na znakomitym polskim piwie i jeszcze znakomitszych zapałkach. Są bardzo kulturalni w muzyce i w życiu prywatnym (w ogóle poziom intelektualny polskiego big-beatu bardzo podskoczył, a przed festiwalem wszystkie zespoły pozwoliły się podstrzyc, skracając przy tym baki i wąsy, i najdłuższe baki w Polsce mają teraz nie młodzieżowcy, a byli purytanie, od jazzu, jak na przykład Roman Waschko). A więc Sławkowi Kowalewskiemu, Krzyśkowi Krawczykowi, Marianowi Lichtmanowi i szefowi grupy, panu Ryszardowi Poznakowskiemu, z którym jeszcze na ty nie wypiłem, i nie muszę, dalszych sukcesów! w walce o polski, klawy, zaangażowany w istotne sprawy młodzieżowe beat.

5.

Dobrze się stało, że w Opolu znalazło się miejsce, niemałe, dla pieśni i piosenki patriotycznej, o głębszych humanistycznych treściach. Dobrze się stało, że koncert inauguracyjny uczcił 25 rocznicę powstania Ludowego Wojska Polskiego, że Fogg, a także „Drumlersi" śpiewali „Nasz spokojny dom", że przystojny pan Lisiecki wykonał „Ziemię obiecaną". Było dużo piosenek folklorystycznych i były protest-songi. Tak trzeba, panowie! Żadnego mi kosmopolityzmu, psia krew, bo się będę musiał za was wziąć.

Dobrze również się stało, że w ramach festiwalu odbyła się impreza: „Polska jazzowa pieśń i piosenka". Jolantę Borusiewicz, Wojciecha Skowrońskiego i Mariannę Wróblewską młodzieżowa widownia wielokrotnie wzywała do bisów. Bisował także zespół Paartita, nastoletnie panny swingujące fugi Bacha. Ludzie, świat się kończy! Big-beatowcy zafascynowali się jazzem i Bachem, oklaskiwali gwiazdora europejskiego jazzu, Zbyszka Namysłowskiego (udzielał mi kiedyś korepetycji z zakresu gry na trąbce) i Piotrusia Kotta, który tak sadzi na trąbce, że każdy polski trębacz może mu spokojnie umyć nogi.

Jazz, ta najbardziej demokratyczna muzyka, jeszcze raz udokumentował swoją niesłychaną żywotność. Jazz wraca. Wracają trąby i puzony. Są już eksperymentalne składy: beatowa sekcja gitar plus dęta sekcja dixielandowa. Polanie wprowadzają do zespołu dwa saksofony. Blacha na potęgę wchodzi do big-beatu, tak jak gitara basowa z powodzeniem wchodzi do jazzu, robiąc, jak to wulgarnie określają muzycy, większe jajo swingowe, niż tradycyjny, wielki a cichy kontrabas.

Najlepszym koncertem festiwalu był ten ostatni, co świadczy o tym, że jury udało się wybrać i nagrodzić przynajmniej część najlepszych piosenek. Był to pierwszy w ogóle koncert w dziejach obu naszych polskich festiwali, na którym nie ziewałem z nudów, z wyjątkiem tych nielicznych chwil, kiedy smędziła z estrady Rolska i Tutinas i z wyjątkiem tej piosenki, którą wykonała Joanna Rawik. Ale nawet te chwile umieliśmy sobie urozmaicić. Tak na przykład widownia zamiast „bis" krzyczała: „Rolska — do tablicy", dając wyraz swojemu przekonaniu, że właściwe miejsce tej pani jest raczej w radiowej szkole, a przecież o to przede wszystkim chodzi, aby właściwi ludzie byli na właściwych miejscach, no nie?

A poza tym wszystko grało. Kydryński zapowiadał lepiej niż Edyta Wojtczak, a już najlepiej, to podobno zapowiadał ten, no... jakże mu tam... Fedorowicz z bakami. A Łazuka, to już tak dobrze nie śpiewa jak śpiewał. A ja tam się nie martwię. A co tam.

W sumie jednak wszystko grało i, niech mu tam, powtórzę raz jeszcze: Janusz Rzerzewski and his boys zrobili naprawdę kawał dobrej roboty.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KONRAD FREJDLICH

Krecia robota

W schronisku na Ornaku, które zamyka rojną niczym deptak Dolinę Kościeliską, rozłożyli się obozem grotołazi. Matkuje im Komisja Taternictwa Jaskiniowego wynajmując dla uczestników ekspedycji po bożemu pokoje na pięterku, bo biwaku rozbić nie można, przepisy zabraniają. A zresztą obóz ma charakter międzynarodowy i w niektórych doniesieniach awansował nawet do rangi zjazdu.

Więc kiedy piąłem się od Kir bitym gościńcem w palącym, tatrzańskim słońcu, pociłem się na myśl o referatach, które przyjdzie mi wysłuchać na Ornaku, ale kiedy słońce wzniosło się nad skały, nie martwiąc się czy będę wyglądał dość reprezentacyjnie, ściągnąłem krawat i zwinąwszy go w rulonik schowałem do kieszeni.

Ten gest przeobraził mnie niemal w turystę, chociaż wybrałem się w góry w garniturze i giemzowych półbutach o śliskich podeszwach. Nadkładając drogi wspiąłem się do Jaskini Mroźnej, gdzie wstęp zagradzały jeszcze srogie drzwi obite blachą i trzeba było czekać do dziewiątej, kiedy parsknęły motory elektromobili i drgnął wreszcie rządek turystów przy kasie.

W chłodnym wnętrzu jaskini odbyła się moja szybka, bo trwająca trzy kwadranse, speleologiczna edukacja. Potykając się na śliskich, kamiennych stopniach zważałem nieustannie, aby nie dotknąć przewodów elektrycznych albo lamp, którymi podświetlano skały, bo w tej wilgoci podobno nie ma żartów. Gdy korytarz nieco się rozszerzał jak inni zadzierałem głowę wpatrując się w okrutne nawisy. W jakiejś skalnej komnacie milczący dotąd nauczyciel, który wiódł gromadkę łańcuckich dziewcząt, zatrzymał mnie nagle i powiedział:

— Ładny ten piaskowiec!

Potem przemówił do nas jaskiniowy przewodnik i kazał podziwiać wapienie. Nauczyciel już się nie odzywał.

Na Ornaku przed wejściem do schroniska stała sobie sarna opędzając się od much i dzieci; dzieci cofały się, ale muchy nic sobie nie robiły z rozdrażnienia czworonoga. Na balkonie, z którego można patrzeć na Pyszniański Potok, prażyły się na słońcu kombinezony zakurzone jak worki po cemencie. Domyśliłem się, że to część ekwipunku grotołazów, a ich samych znalazłem na ławce z pniaka i wdałem się w rozmowę, ale podtrzymał ją tylko młody człowiek, na którego koszuli spostrzegłem naszywkę: Ljubliana-Matica. Pozostali mieli kłopoty językowe.

Przyjechali tutaj w trójkę: Janez Ilersic, Primoz Krivic i Marjan Juvan, a choć to już ich drugi pobyt w Polsce, radzi są z wyprawy, uważają bowiem, że jaskinie tatrzańskie w niczym nie ustępują alpejskim. U siebie w kraju uważają za najciekawszą jaskinię Najdena. Tutaj zaliczyli już Czarną i Psią, w której znaleźli zresztą nowe, nieznane do tej pory korytarze nazwane przez nich Jugosłowiańskimi. Prowadzi do nich bardzo wąska szczelina, pięciometrowa studnia i zaraz jest ten korytarz, cztery razy dłuższy niż studnia.

I na tym stanęło, bo akurat zjawił się pan Bronisław Goch, kierownik obozu.

Pan Goch uprzedził mnie, że pisząc o grotołazach powinienem wystrzegać się słów takich jak grota, albo, co nie daj Boże, pieczara, bo jedynie poprawnym jest słowo jaskinia. Grotołaz to także niezbyt przystojny termin, lepiej jest mówić speleolog albo, gdyby zaszła potrzeba, taternik jaskiniowy. Można, rzecz jasna, rozwinął temat pan Goch, używać słowa alpinizm podziemny zwłaszcza w odniesieniu do tych grotołazów, którzy rzeczywiście spenetrowali jaskinie alpejskie jak chociażby uczestnicy polskiej wyprawy do Gouffre Berger we Francji, jaskini głębokiej na 1122 m. Śledząc pilnie posuwający się po papierze mój długopis pan Goch uprzedził lojalnie, że powinienem wystrzegać się wszelkiej sensacji.

Odczekałem chwilę w przeświadczeniu, że teraz zacznie się mrożąca krew w żyłach opowieść, której nie będzie mi wolno zapisać, ale zamiast tego mój rozmówca zaczął klasyfikować grotołazów jak przyrodnik klasyfikuje chrząszcze, co przepuściłem już świadomie, z własnej woli.

Długopis drgnął, kiedy pan Goch przeszedł do sprawy nowych odkryć jaskiniowych w masywie Czerwonych Wierchów. Mówił o nich z podziwu godnym spokojem: i o Śnieżnej, i o Ptasiej Studni, o Lodowej Litworowej i Wielkiej Litworowej, wreszcie o długiej na pięć kilometrów Czarnej. Poinformowany zostałem także o odkryciu nowych korytarzy w Jaskini Miętusiej. Na koniec zachował pan Goch prawdziwy rarytas — wspomniał o odkryciu Jaskini Nad Kotlinami, która jak to ustalono ostatnio, łączy się ze Śnieżną. W ten sposób można mówić o systemie Nad Kotlinami — Śnieżna, w którym różnica poziomów liczy 770 metrów, co stawia go w czołówce światowych rekordów głębokości.

Na szczęście na obozie przebywa pan Janusz Baryła, który uczestniczył w pionierskim przejściu całego systemu. Przed słońcem schroniliśmy się pod dach i tutaj popijając kawę dałem się porwać barwie opowieści mojego rozmówcy. Mówił powoli, jakby się wahając i nawet, rzec by można, beznamiętnie. Bez jakichkolwiek upiększeń, liczyły się fakty.

Było ich sześciu, starannie dobranych, tylu, ilu było potrzebnych do tej wyprawy, która, wiedzieli to, będzie ciężka, chociaż część drogi, tę końcową, znali już, bo już zagłębiali się w Śnieżną. Nazwiska zgłosili w Goprze: Jerzy Didur, Jerzy Dobrzyński, Jan Woźniak, Andrzej Mróz, Tadeusz Oczko i on, Baryła. Zabrali ze sobą 12 lin, prócz tego młotki, karabinki, haki i „małpy" do podciągania się po linach. Mieli także kuchenkę — juwel, żeby było na czym zaparzyć herbaty.

Kiedy wchodzili do Jaskini Nad Kotlinami była sobota, godzina czternasta trzydzieści. Przewidywali, że wyjdą na powierzchnię w poniedziałek o dwunastej.

Mieli do pokonania zaledwie dwa kilometry drogi, bo taka jest długość systemu Nad Kotlinami — Śnieżna, ale musieli też pamiętać o różnicy poziomów — mieli się opuścić 770 metrów w dół. Schodząc liczyli studnie, do których zjeżdżali pionowo, po linach. Osiem z nich to były największe z największych, jakie znają Tatry: ciemna czeluść ciągnęła się na blisko osiemdziesiąt metrów w głąb. Latarkami umieszczonymi na chełmach nie mogli przeniknąć na wskroś czającej się pod nogami ciemności. Mniejszych studni nie liczyli już, szybko stracili rachunek.

Szli po omacku, jak krety, tracili siebie z oczu i znów się łączyli. W pewnej chwili zatrzymali się, żeby coś zjeść, godziny biegły. Musieli się także rozgrzać, bo ubrania ich nasiąkły wodą jak gąbka. Po

PROBLEM na 33 obroty

Dalszy ciąg ze str. 1

Długiej w starej kamieniczce „Polskich Nagrań", które wiodą płytowy przemysł PRL.

Czuje się tutaj wiew wielkiego świata. To nie nasza prowincjonalna prostota. Do „Polskich Nagrań" poczułem od razu ogromny szacunek, gdy dyrektor powiedział z przyganą:

— Redaktorze kochany, jak pan to sobie wyobraża? Tak przyjechać mi stąd ni zowąd — jeśli poświęcę panu pół godziny, dziesięciu ważniejszych spraw nie załatwię...

Wiem, wiem. Jedna z tych dziesięciu spraw, to choćby fakt, że na statystycznego Polaka przypada j e d n a p i ą t a płyty rocznie. (Wliczając, oczywiście, produkcję Pionek i „Veritonu"). Dużo to czy mało? Niestety, mało, a wniosek ten wyprowadzam z prostej obserwacji.

Oto leży przede mną zielony skrawek tworzywa z nagraną piosenką „Deszcze niespokojne potargały sad" — oczywiście z filmu „Czterej pancerni". Na odwrocie nie znajduję firmowego signum ani „Muzy" ani „Pronitu", ani „Veritonu". Jest natomiast napis: „J. Rybicki, Gołków 11, cena 20 zł". Wątpię, aby „Polskie Nagrania" „wiodły" pana Rybickiego. Wiem natomiast z całą pewnością, że pan Rybicki i kilkudziesięciu jemu podobnych przedsiębiorców, biją na głowę „Polskie Nagrania" s z y b k o ś c i ą. Nie obrotów płyty na minutę, ale szybkością, z jaką reagują na rodzący się przebój.

Dlatego też pan Rybicki może spokojnie sprzedawać swoje pocztówki po 20 zł, bo nie grozi mu konkurencja „Polskich Nagrań", których płyty ukażą się w parę miesięcy po „wybuchu" przeboju, i kosztować będą 80 lub 30 zł. Pan Rybicki obawiać się może tylko konkurencji swoich równie szybkich kolegów z branży.

A kolegów z branży jest sporo i jakoś sobie nawzajem nie przeszkadzają. Oczywiście, wiem, że jakość pocztówek dźwiękowych jest gorsza od czarnych krążków spod pras „Pronitu" czy „Muzy". Ale nabywcy się znajdują, bo przedsiębiorca odpowiada szybko na zamówienie słuchacza. Jest więc zamówienie na odpowiednią płytę w odpowiednim czasie.

Ale już nawet nie o szybkość chodzi. Produkujemy w ogóle za mało płyt i stąd w ową lukę wciskają się ze swoimi, najczęściej tandetnie wykonanymi pocztówkami, prywatni wytwórcy. Robią kokosy, kupują wille i samochody, ale niech tam, nie żałuję im tego. Żal tylko, że państwowe przedsiębiorstwo, mające ręce związane określonym wskaźnikiem płac, zatrudnienia, sztywnym planem itp., nie może wejść na rynek z „grającym towarem", na jaki rynek czeka.

A żal to tym bardziej dotkliwy, że przecież za roczny zysk uzyskany przez „Polskie Nagrania", można by wybudować nowoczesną tłocznię płyt i w nowych warunkach podwoić produkcję.

Niestety, jak dotąd... Pojedźmy jednak na Wolę, gdzie przy ulicy Płockiej mieści się kilka starych, drewnianych baraków przedwojennej firmy „Odeon". Niewiele tu się zmieniło od tamtych czasów.

Jest lipcowy skwar, po dachach baraków chodzą pracownicy „Muzy", polewając je obficie wodą z przeciwpożarowych hydrantów. Wewnątrz duszno — trzaskają prasy tłoczące po 500 longplay'ów dziennie. Co minuta spod prasy wypada czarny winylowy krążek. Pracownice skrupulatnie odcinają scyzorykami nierówności masy na krawędziach płyty, trochę przypomina to rzemieślniczo-chałupniczy styl pracy. Jak za czasów „Odeonu", tylko, że łatwo tłukącą masę zastąpił trwalszy winyl.

Jak to się dzieje — zapytać może i ma przecież do tego prawo meloman i kolekcjoner płyt. Przy ogromnych zyskach, przy popycie przerastającym dwukrotnie podaż, czemu nie rozwiązano dotąd logicznie i sensownie sprawy płytowego przemysłu?

Jak się zdaje, trwa tu podjazdowa wojna między potentatami. Nikt nie chce ustąpić, każdy ma wysokich protektorów. „Pronit" po swojej chemicznej linii, „Muza" po swojej kulturalnej. „Polskie Nagrania" chciałyby zaanektować do swego ogródka całe Pionki — „Pronit", który ma produkcję nowocześniejszą i moc produkcyjną o większych perspektywach, chciałby podporządkować sobie „Polskie Nagrania" i sam stać się potentatem.

Na razie obaj wytwórcy skazani są na siebie. Pionki produkują winylową masę", z której także w Warszawie produkuje się płyty. „Polskie Nagrania" wykonują metalowe matryce, z których Pionki sztancują płyty. Jak dotąd „Pronit" nie może istnieć bez „Polskich Nagrań", a „Polskie Nagrania" bez „Pronitu".

Przyszłość także wygląda dość kontrowersyjnie. Są plany zbudowania na Woli nowoczesnego zakładu za 100 milionów złotych, który dałby produkcję 18 milionów płyt rocznie. Pionki twierdzą, że przy nakładach inwestycyjnych rzędu 50 milionów złotych, dadzą produkcję 30 milionów płyt rocznie. Danych tych zaczerpnąłem z artykułu Andrzeja Małachowskiego z „Polityki" i jest to chyba także jedna z owych dziesięciu spraw, które tak ostatnio absorbują dyrektora Kruka z „Polskich Nagrań".

Wydaje się, że nowocześniejszy „Pronit" lekceważy nieco swego chałupniczo-rzemieślniczego partnera. — Z kolei w warszawskiej „Muzie" opowiadają, że w Pionkach mają tylko jeden krajowy adapter do sprawdzania płyt, i że w produkcji widzą wyłącznie czarne krążki z tworzywa, a nie utrwaloną na nich muzykę. My — artyści z resortu kultury i sztuki, oni — profani z resortu chemicznego... Ten ton zdaje się słyszeć w Warszawie.

Nie lubią się, oj nie lubią, obaj kontrahenci. Jedni mają za sobą swego resortowego wicepremiera — drudzy swego...

Cóż w tym towarzystwie może mieć do powiedzenia dziennikarz z łódzkich „Odgłosów"? Chyba tylko to, że racja — jak to zwykle w życiu bywa — na pewno jest gdzieś pośrodku. A już najpewniej racja jest po stronie nabywcy, który domaga się płyt dobrych technicznie i melodii, które są popularne d z i ś, a nie były popularne przed rokiem.

Nie wiem, czy lekceważenie kontrahenta z resortu chemii ma swoje uzasadnienie, czy też nie. Osobiście skłonny jestem przypuszczać, że spadkobierców tradycji „Odeonu" nieco irytuje przemysłowy stosunek „Pronitu" do produkowanej, było nie było s z t u k i. W „Muzie" z każdym nagraniem bardzo się pieszczą. Jedna minuta muzyki zapisana na płycie, to co najmniej godzina nagrywania, płyta nie ma prawa mieć żadnych zanieczyszczeń dźwięku, melodia musi brzmieć czysto i wyraziście — każda płytę bada się pod tym względem bardzo dokładnie.

A jednak są narzekania na jakość. I tu znów nie podejmuje się oceny, przedstawię tylko suche fakty.

Najpierw jednak anegdota — podobno prawdziwa. Do „Muzy" przyszła kiedyś Maria Koterbska i zapytała filuternie:

— Kogo panowie właściwie nagrali na płycie z moim nazwiskiem? Bo to chyba nie mój głos?

— Pani Mario, prosimy o płytę — powiedziano.

Przegrano i przesłuchano. „To jednak ja — powiedziała piosenkarka — ale dlaczego na moim adapterze mój głos brzmiał zupełnie inaczej?

I tu dochodzimy do sprawy adapterów produkowanych w Łodzi. Na tyle znam życie, aby wyobrazić sobie ów zaklęty krąg odpowiedzialności. Hipotetycznie wygląda on może w ten sposób: „Nasze płyty są znakomite — powiedzą w „Muzie" — to złej jakości adaptery psują odbiór". „Nasze adaptery są dobre — mogą mi powiedzieć w Łódzkich Zakładach Radiowych — to użytkownik nie dba o właściwą konserwację i prawidłową eksploatację". I wszyscy są dobrzy. Zawinił — jak to już nieraz bywało — szary przeciętny odbiorca.

Byłbym jednak nieuczciwy, gdybym nie zdał sprawy z przesłuchania, jakie miało miejsce w maleńkiej salce warszawskiej „Muzy". Na talerz adapteru (zagraniczny), firmy „Philips", tzw. główka o wysokiej jakości, produkcja duńska), założono pierwszą lepszą płytę, przyniesiona wprost spod prasy. Na fabrycznym adapterze melodia była jak dzwon, czyściutka, wyrazista, słowa piosenek brzmiały zrozumiale — odbiór, rzeczywiście, znakomity. Na adapterze „Bambino", przy większych zgłośnieniach, wychodził bełkot, jednej czwartej słów nie można było zrozumieć, muzyka jakaś stłumiona, miejscami skrzypiąca. Fakt. Nie da się ukryć.

Trudno więc problem produkcji płyt oddzielać od problemu produkcji adapterów. A na dobra sprawę, to nie ma w Polsce adapteru wysokiej klasy. Produkujemy ich dużo i tanich, są to typy klasy, rzekłbym, młodzieżowej. Są na pewno tanie i w „Muzie" nawet powiedzą — „za te pieniądze trudno żądać lepszych" — ale przydałby się w kraju jeden lepszy typ gramofonu elektrycznego. „Czerwono-Czarnych" słuchać na pewno można i z „Bambina" — „Pasji" Pendereckiego czy IX Symfonii Beethovena nieco trudniej.

Ale wróćmy do płyt. Nie ma w tej chwili mądrego, który mógłby przewidzieć jak sprawy przemysłu płytowego w Polsce się potoczą. Czy „Polskie nagrania" wchłoną Pionki, czy też Chemia zaanektuje dla siebie całą winylową produkcję. Jak już powiedziałem, obie strony mają swoje racje i swoich wicepremierów, a dyrektor Kruk przy tym wszystkim nie ma głowy do rozmów z dziennikarzami.

Jedno wszakże jest pewne. Uzasadnione lub nie, animozje i pretensje w dwu skazanych na siebie krainach longplay'u przynoszą w efekcie tylko szkodę odbiorcom muzyki. A 70 prywatnym producentom dźwiękowych pocztówek nabijają kiesę.

Przypomnijmy raz jeszcze. Czechosłowacki „Supraphon" dostarcza rocznie 1 płytę na dwu statystycznych obywateli. U nas „Pronit" i „Muza" (plus „Veriton") — jedną płytę na pięciu obywateli. A jeśli odliczyć eksport, który przeciętnie sięga lub przekracza 500 tysięcy płyt rocznie?

W powstałą lukę w podaży wciska się dźwiękowa pocztówka, zła technicznie, ale n a c z a s i e. Jeśli kompetencyjne spory i prestiżowe racje będą się nadal kotłować bez efektywnego, rozsądnego finału — za parę lat doliczymy się 200 prywatnych wytwórców, paru następnych artykułów na temat polskiej płyty i paru kolejnych wyjaśnień i sprostowań, które tak absorbują ostatnio dyrektora „Polskich Nagrań".

JERZY WILMAŃSKI

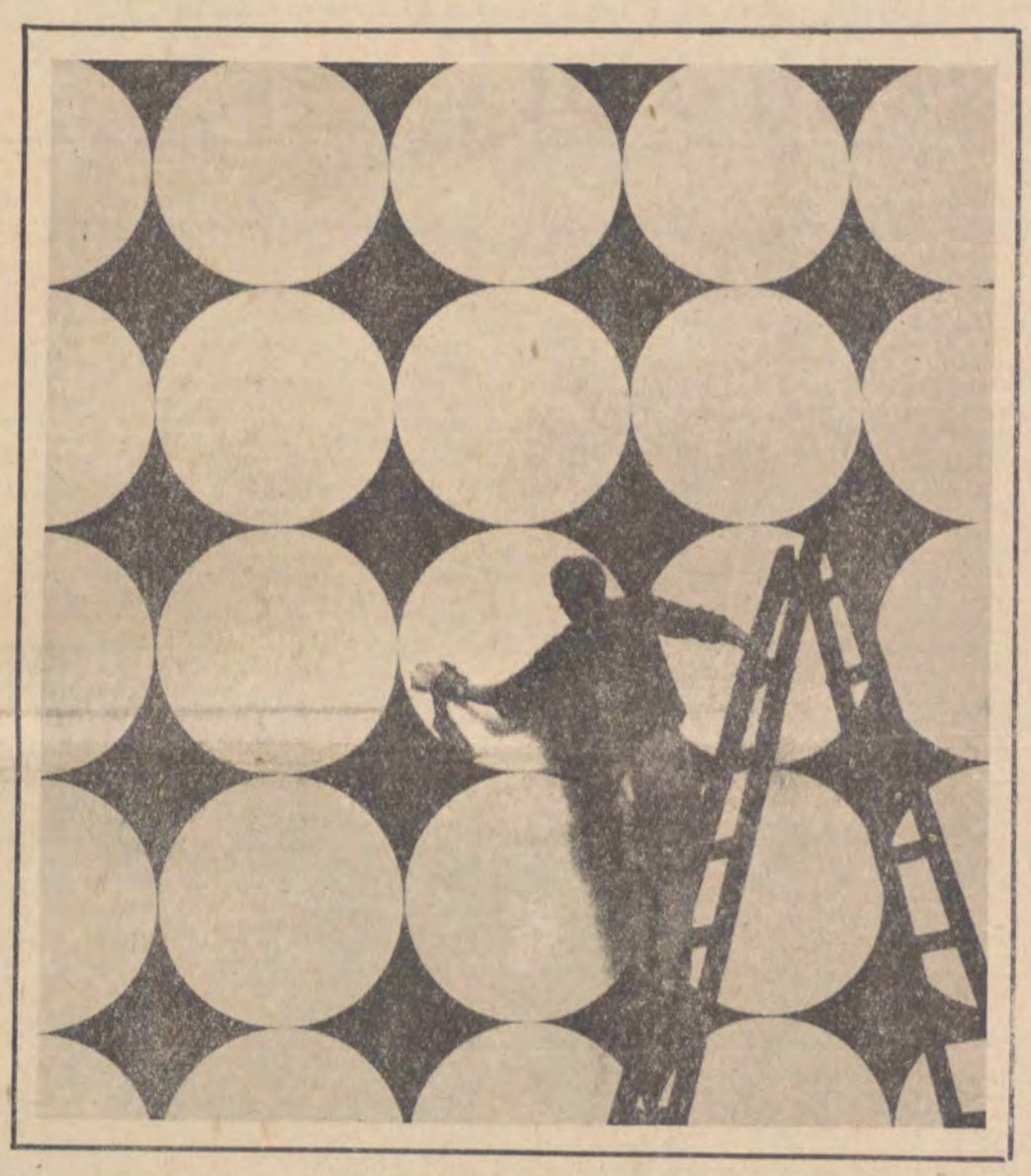

---

osiemnastu godzinach Baryła i Woźniak dotarli do końcowego syfonu, pozostali członkowie ekspedycji zatrzymali się na szczycie pięćdziesięciometrowej studni. Kiedy obaj zobaczyli przed sobą zwierciadło wody, które zagradzało dalszą drogę, wpatrywali się w nie z ulgą, że dalej nie potrzebują już iść, mogli wracać. Z góry waliła woda, która zagłuszała wszystkie słowa, grzmot ogromniał w wąskim korytarzu skalnym.

Wtedy zaczęli odwrót. Bolały ich mięśnie i kleiły się powieki. Teraz musieli dziesiątki metrów podciągać się na linach do góry, słabły ręce. Drzemali na szczytach studni, dopóki nie wygramolili się wszyscy koledzy i znów zaczynała się wspinaczka. Tak minęła druga doba, zaczęło im już brakować światła, a jaskinia ciągle nie chciała się skończyć.

W poniedziałek w południe ludzie z Gopru weszli do jaskini usiłując wypatrzeć w ciemnościach światełka powracającej ekspedycji. Widzieli przed sobą tylko czarną, ziejącą czeluść. Krzyczeli, nikt nie odpowiadał. O dziewiętnastej sytuację uznano za poważną. I właśnie wtedy udało się ratownikom po raz pierwszy nawiązać kontakt głosowy z ekspedycją. Ci na dole prosili o baterie, kończyło im się światło. W poniedziałek o dwudziestej trzeciej ekspedycja wyszła z jaskini po pokonaniu systemu Nad Kotlinami — Śnieżna. Wyprawa trwała 56 godzin, ludzie słaniali się na nogach.

Co czuli, kiedy wreszcie wyszli? Pan Baryła zastanowił się.

— Wtedy tylko zmęczenie. Chcieliśmy się wyspać.

I po chwili:

— Pytał pan o satysfakcję? To przychodzi później.

Podobnego mniemania jest Węgier, pan Lorberer Arpad, z wykształcenia inżynier. Pierwsze wyprawy do jaskiń odbywał jeszcze jako dziewięcioletni chłopiec dzięki braciom Holly, którzy zabierali go ze sobą w góry. Potem w szkole średniej w Esztergomie, kontynuował te wyprawy samodzielnie i już świadomie. Na pierwszym roku studiów stał się wytrawnym grotołazem. Od tej pory systematycznie jeździ do Jósvafo, w którego okolicach znajduje się najwięcej jaskiń na ziemi węgierskiej. Miał szczęście sam przyczynić się do nowych odkryć w tej dziedzinie. Jednej z jaskiń nadał imię Kossuth.

Pan Lorberer Arpad zna też doskonale jaskinie tatrzańskie, bo Polskę odwiedza właśnie po raz ósmy. Najpierw chce wymienić jaskinie, które u nas już zwiedził, ale o wiele prościej jest mu wyliczyć te, których jeszcze nie zna. Nie był bowiem tylko w Śnieżnej i Wielkiej Litworowej. Dla odmiany Czarną, mimo jej długości przeszedł dwukrotnie aż do końca. W Jaskini Miętusiej spędził aż 5 dni. W roku 1965, pamięta dokładnie tę datę, 13 października, razem z Andrzejem Skwirczyńskim przeszedł z Lodowej Litworowej do Ptasiej Studni.

Nazwa: Ptasia utrwaliła się w nim na zawsze. Podczas wyprawy do tej jaskini, kiedy trzeba było zdobywać długi komin jeden z uczestników zaczął się osuwać na linie, uderzył głową o skałę i stracił przytomność. Ratowali go jak potrafili i wszystko skończyło się dobrze, ale takie zdarzenie zostawia zawsze trwały ślad. On je będzie pamiętać. Ciężkie chwile przeżył także w jaskini Kossutha, do której przyprowadził wycieczkę nowicjuszy. Sama jaskinia nie jest specjalnie trudna, ciężki jest tylko końcowy odcinek drogi, kiedy trzeba przepłynąć jeziorko o głębokości 13 m a przeprawę utrudnia szybki, wirowy prąd za wodospadem. To było już w drodze powrotnej: łódka trafiła na wir i nabrała wody. Pasażerowie nie umieli pływać, dwóch zaczęło tonąć. Rzucił im linę i zdołali się jej jakoś uchwycić. I tym razem zakończyło się na strachu.

W ogóle woda, a szczególnie syfony, zwiększają niebezpieczeństwo tych podziemnych wypraw. Pokonywał kiedyś syfon tak ciasny, że nad powierzchnią wody znajdował się tylko dziesięciocentymetrowy słup powietrza. Tak było z jednej, jak się okazało, dostępniejszej strony syfonu. W drugiej komorze skała dosięgała niemal wody, miał więc uczucie, że się dusi. W takim wypadku najlepiej korzystać z aparatu, choć trzeba opanować umiejętności płetwonurka.

Lorberer Arpad udziela informacji o swych kolegach, którzy razem z nim przyjechali na obóz do Polski. Attila Kósa i Kinga Szekely są członkami grupy badawczej w klubie „Voros Meteor", co się tłumaczy na polski jako „Czerwony Meteor". Attila jest specjalistą od przepaści, Kinga nie ma określonej specjalizacji, ale jest wytrawnym grotołazem.

Na sam koniec zostawiłem sobie Bułgarów. Petko Nedkow i Konstantyn Spasow trzymają się zawsze razem i jakby odrobinę oddzielnie od reszty uczestników. W Polsce są po raz pierwszy, mają więc o wiele poważniejsze kłopoty językowe niż Jugosłowianie czy nawet Węgrzy. Pierwszy sporo już jeździł, brał udział w ekspedycjach na terenie Belgii i NRD. Chociaż w Bułgarii naliczono blisko 2000 jaskiń, obaj uważają zgodnie przyjazd do Polski za swoją najciekawszą wyprawę, bo najgłębsza jaskinia w ich kraju ma zaledwie 242 m.

— Chociaż — zauważa pan Nedkow — w Rodopach, przy udziale Polaków odkryta została w roku 1962 bardzo ciekawa jaskinia o nazwie Drużba. Ma ona 211 m głębokości, składa się właściwie z jednej, długiej na 196 m studni i tuż krótkiego korytarza, który skośnie opada w dół.

Dopijam swoje piwo, a moi rozmówcy wędrują na pięterko: to pan Goch zarządził przymusowy odpoczynek. Za godzinę wszyscy wyruszą w daleką drogę do schroniska na Hali Miętusiej. Stamtąd już tylko kilka godzin wędrówki do Śnieżnej.

Przed schroniskiem ten sam obrazek: sarna opędzająca się od much i dzieci, tylko much jakby przybyło. Potem z balkonu na pięterku znika nagle część kombinezonów, widomy znak, że trwają ostatnie przygotowania do wyruszenia w drogę.

Potem cała gromadka ukazuje się na schodach. Na ramionach wszyscy dźwigają ciężkie szpeje. Tak w języku grotołazów nazywają się plecaki.

Wychodzę i ja na szlak, część drogi mogę odbyć z ekspedycją, idziemy w tym samym kierunku. Na Cudakowej Polanie trzeba się rozstać.

Przez jakiś czas widzę ich jeszcze wspinających się na Krowi Żleb. Rano wedrą się do wnętrza skał i będą je drążyć jak krety.

KONRAD FREJDLICH

OD REDAKCJI: Przed dziesięcioma laty, 3 sierpnia 1958 roku, zmarł w Łodzi w wieku lat 56 pisarz-samouk, Władysław Pawlak. Urodzony i wychowany w Łodzi, tu przeżył wszystkie swoje lata, ucząc się, pracując zawodowo i pisząc książki. Jedną z najwybitniejszych jego pozycji jest nagrodzona na konkursie „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" w Krakowie, powieść „Kamienica wielkiego miasta". Po roku 1945 Władysław Pawlak wydał „Strajk, albo nie strajk" oraz „Nigdy więcej". Po śmierci pisarza ukazał się, nakładem Wydawnictwa Łódzkiego, tom jego opowiadań „Karuzela", poprzedzony wstępem Jana Koprowskiego. W dziesiątą rocznicę śmierci pisarza drukujemy dawną jego wypowiedź „Jak zostałem powieściopisarzem", która jest dokumentem jego aspiracji życiowych i walki o należne miejsce w świecie tamtych trudnych lat.

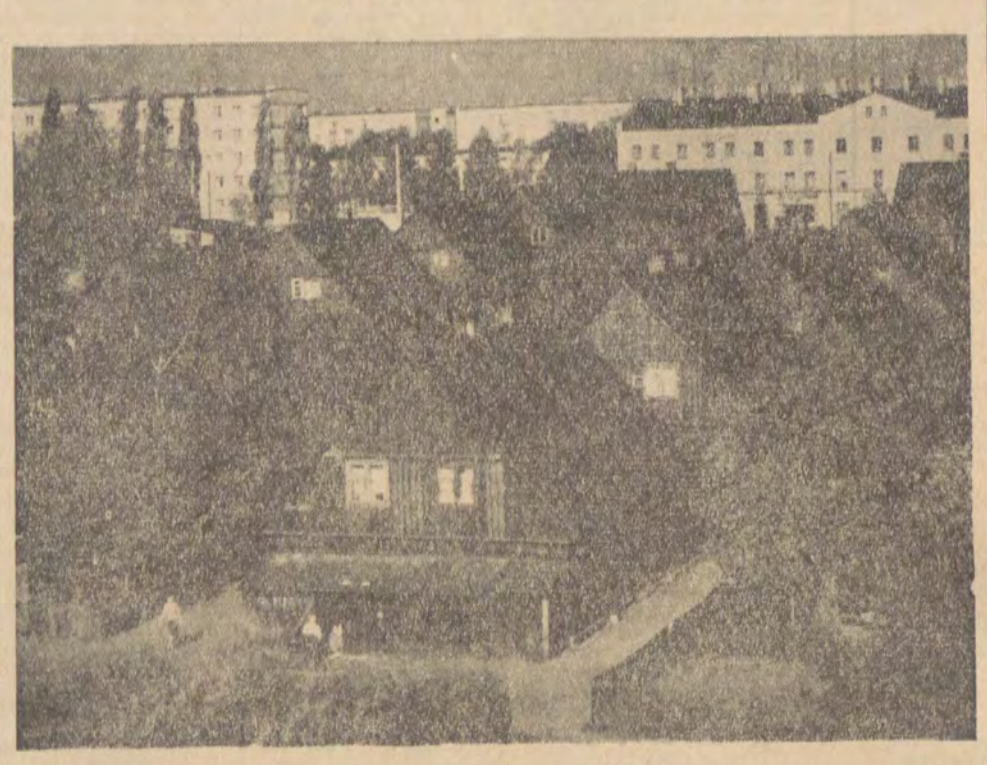

Z teki ŁTF *Fot. K. Janaszewski*

Jak zostałem pisarzem?

Jestem pisarzem. Napisałem powieść, która została nagrodzona i dwa razy wydrukowana. Raz w odcinkach, w dzienniku, drugi raz w wydaniu książkowym.

Dziś pierwszy krok w dziedzinie powieściopisarstwa mam poza sobą. Kiedy powstało u mnie postanowienie pisania?

O tym by pisać, by zostać pisarzem, postanowiłem, nie wiem, ale zdaje mi się, że już wówczas, gdy zacząłem pojmować swe myśli, gdy do świadomości mej wniknęło pojęcie o istnieniu tej dziedziny sztuki.

Chęć pisania powstała we mnie nie nagle, nie spadła na mnie w postaci bodźców.

Nie, ja, jak tylko pamięcią sięgam, zawsze myślałem o tym, że będę kiedyś pisał książki. Nawet określiłem sobie czas, kiedy rozpocznę pisać. Miałem rozpocząć pisanie wtedy, kiedy zdobędę wykształcenie. I zdawało mi się, że nie przyjdzie ono trudno, miałem chęci i zdolności do nauki, więc mając lat dziewięć, czy jedenaście, marzyłem o tym, że ukończę gimnazjum, uzyskam wykształcenie w zakresie szkoły średniej przy pomocy rodziców, a później własnym wysiłkiem.

Ale były to tylko marzenia dziecka robotniczego, utopia, która w miarę gdy przybywało mi lat, uciekała przede mną coraz dalej i dalej.

Udało mi się ukończyć zaledwie cztery oddziały szkoły powszechnej i wprost ze szkoły musiałem iść pracować.

Pracy w Łodzi wtedy było mniej aniżeli teraz, dorośli musieli szukać jej poza naszym miastem, a cóż ja, chłopak wątły, miałem tutaj robić. W Łodzi nie było dla mnie pracy i szukałem jej gdzie indziej, na wsi przy paseniu krów.

Tam, pilnując bydła, by nie weszło w szkodę, nie przestałem marzyć o wykształceniu i pisaniu książek. Tam, pasąc krowy, podsłuchałem, mimo woli, rozmowę chłopów... o książkach. O tym, że o wszystkich miastach piszą książki, o Warszawie, Krakowie, a o Łodzi nie piszą. I zadawali sobie pytanie, czemu?... Wnioskowałem, że Łódź jest za bliskim miastem, by o nim pisać... Za bliskim ich wiosce...

Ale ja doszedłem do innego wniosku i postanowiłem, że jeżeli nikt nie pisze o Łodzi, napiszę ją, gdy zdobędę potrzebną ku temu wiedzę.

I chciałbym jak najprędzej to urzeczywistnić, wyrywałem się też do książek, które czytałem namiętnie: były one dla mnie nałogiem jak tytoń dla palacza albo, alkohol dla pijaka.

Ja nie czytałem książek, ja je pochłaniałem dziesiątkami, setkami, tysiącami. W bibliotece Towarzystwa „Wiedza" brakło dla mnie książek, przeczytałem wszystkie. Gdy noc zapadła musiałem zaprzestać czytania, bo na naftę nie było pieniędzy. Byłem jak odurzony, zamroczony i gdy tylko świt ubielił okna, brałem książkę do ręki i czytałem dalej, a po południu leciałem do biblioteki, by otrzymać nową książkę i żyć w świecie ułudy, urojeń.

Od nadmiernego czytania zachorowałem na oczy i cierpienie to wytrąciło mi książkę z ręki, nie mogłem już chłonąć ich treści tak, jak kiedyś, bywały nawet dni, że nie mogłem wcale czytać i wtedy żyłem pół życiem, jak pod narkozą. To był dla mnie najdotkliwszy cios w życiu. Za nic miałem to, że chodziłem codziennie głodny spać, że chodziłem w ubraniu starym i zniszczonym, życie moje rozpoczynało się i kończyło na książce. Nie mogłem czytać będąc półślepcem i nie mogłem się uczyć z powodu braku pieniędzy na naukę, która skróciła by mi czas, przybliżyła chwilę, w której rozpocząłbym pisanie książek.

A wiedziałem już wtedy, gdy pasłem krowy, o kim napiszę — o Łodzi i robotnikach; ale niestety ten czas, kiedy miałem rozpocząć pisanie, uciekał przede mną.

O tym, by pójść do szkoły średniej, nie było mowy. Była wojna, a z nią nędza, nie o nauce było wówczas myśleć, a o tym, by było co w garnek włożyć i do ust.

Lata mijały, wojna się skończyła i wyrosłem z lat, w których mógłbym normalnie chodzić do szkoły i uczyć się. Trzeba było pomyśleć o jakimś zajęciu, zawodzie, który mógłby mi dać szansę do życia.

Ale czego miałem się jąć, uczyć, kiedy ja od chwili, gdy poznałem pierwszą literę, obrałem sobie zawód pisarza.

Zacząłem pracować w Łodzi, zostałem gońcem i postanowiłem zdobywać wykształcenie. Zapisałem się do drugiej klasy na kursach gimnazjalnych i nie mogąc kształcić się w normalnej szkole, uczyłem się wieczorami i nocą, pracując we dnie.

Rozpocząłem przechodzić z klasy do klasy: trzeciej, czwartej, piątej. Zostałem urzędnikiem i zdawało mi się, że jestem już bliski celu, że jeszcze rok, jeszcze dwa i rozpocznę pisać powieść o Łodzi i o robotnikach, o której i o których mało, prawie że nikt nie pisał.

Straciłem posadę, ale nauki nie przerwałem. Czego od tej pory nie robiłem.

Byłem sprzedawcą gazet i dyrektorem kinoteatru. W ślusarni i przy murarzach nająłem się za robotnika, pracowałem wreszcie jako agent, aż zdobyłem wykształcenie w zakresie ośmiu klas.

Chciałem pójść na wyższą uczelnię, ale żyć było coraz trudniej. Coraz częściej trzeba było być głodnym i obdartym. Nie miałem pracy i dostać jej nie mogłem, trzeba się było jąć, za co dało, byle... wyżyć, a może przetrwać... Mijały lata, co jedno to cięższe...

Rozpocząłem pracować jako chałupnik. Na szewskim stołku zarabiałem na chleb i wówczas nie mając widoków na dalsze kształcenie się rozpocząłem pisać swą pierwszą powieść o Łodzi i robotnikach; zacząłem ucieleśniać swoje marzenia.

W dzień robiłem buty, a nocami, o ile tylko starczyło na naftę, pisałem powieść.

Mijał tydzień za tygodniem, rósł stos zapisywanych zeszytów, powieść stawała się coraz realniejszą, aż i całą napisałem. I teraz rozpoczęła się wędrówka po wydawnictwach, powieść nigdzie się nie zatrzymała, wracała do mnie z mniej lub więcej zdawkowymi słowami: kryzys, książki nikt nie kupuje, powieść pana jest wartościowa — ale niestety...

Mijały dalsze tygodnie, wydrukowanie powieści stało się problematyczne.

„Ilustrowany Kurier Codzienny" wychodzący w Krakowie, ogłosił konkurs powieściowy, zdecydowałem się tam przesłać moją powieść z niejaką nadzieją.

Ale gdy dowiedziałem się o przesłaniu na konkurs ponad pięćset powieści, zwątpiłem bym został bodaj wyróżniony.

Przystąpiłem do pisania drugiej powieści i pracowałem w trudzie i znoju od szóstej rano do dziesiątej wieczór, bez przerwy, bez wytchnienia, jak każdy chałupnik, za jeden złoty pięćdziesiąt groszy dziennie. Często zdarzało mi się siedzieć na stołku 36 do 40 godzin bez przerwy, bez zmrużenia powiek.

Minął rok i drugi od czasu wysłania rękopisu na konkurs; pisałem drugą powieść, nie spiesząc się — nie przestawałem myśleć o moim zawodzie, który sobie wybrałem w dzieciństwie jeszcze i o którym nie przestawałem myśleć nigdy, jak i o pisaniu książek; wierzyłem, że pomimo wszystko nadejdzie ten dzień, że wrócę do swego zawodu, do siebie.

Była wiosna, maj piękny, upalny niemal.

W brudnej izbie stanowiącej warsztat szewski, sam brudny, cuchnący potem, pracowałem szesnastą już godzinę, dochodziła dziesiąta wieczór, sezon był w pełni, pracowało się intensywnie; wtem wszedł mój brat, chciał bym wyszedł z warsztatu.

Nie chciałem wyjść, bo to już niedługo dozorcy bramy będą zamykali i trzeba będzie robotę złożyć i wracać do domu, a żal tych kilka sztychów szycia stracić, tych kilkunastu uderzeń młotkiem.

Brat napierał się, bym koniecznie wyszedł. Nie chciałem, lecz w końcu uległem i wprost ze stołka, w spodniach tylko i koszuli wyszedłem z nim na ulicę. Tam dał mi do ręki jakiś papier do odczytania. Podstąpiłem pod latarnię gazową, by móc przeczytać i ręce mi zadrżały, w rękach trzymałem telegram, z którego czytałem: Jury Konkursu nagrodziło „Kamienicę wielkiego miasta"...

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

Babinicz znów w swoim żywiole

Po wydanej w zeszłym roku powieści „Drzazgi", w której **WALDEMAR BABINICZ** odszedł w „daleki świat" od tematu łączonego zwykle z jego nazwiskiem, pisarz ponownie zagląda do gromadzkich świetlic, klubo-kawiarni i pod strzechy. Jego najnowsza książka, zatytułowana **„Zaczarowane laski"** *) jest kolejnym świadectwem trwałego przywiązania autora do problematyki przemian obyczajowych i kulturowych współczesnej prowincji.

Na „Zaczarowane laski" składa się 25 krótkich opowiadań i reportaży, a czasem chyba po prostu felietonów. Są one, jak i poprzednie teksty Babinicza, zwarte, dynamiczne, intrygujące, dowcipne. Pisarz wykorzystuje w nich niemal wszystkie zdobycze tradycyjnej i nowoczesnej prozy. Raz będzie to — w zależności od potrzeby — konwencjonalna opowieść z odautorskim komentarzem, raz behawioryzm, kiedy indziej znowu monolog. Babinicz nie stroni również od bezpośredniej, ilustrowanej tylko faktami, publicystyki. Ale we wszystkich jego tekstach istnieje zawsze rozsądna równowaga pomiędzy treścią i formą. (Może z jednym wyjątkiem: opowiadanie „Ptak by zapłakał" jest, moim zdaniem, tak świetnie napisane, budzi tyle najprzeróżniejszych skojarzeń i potrąca tak czułe struny wyobraźni czytelnika, że aż szkoda, iż pointa sprowadza je do publicystycznej, w końcu doraźnej wymowy).

W prozie Babinicza uderza przede wszystkim życzliwość autora do opisywanych postaci i zdarzeń. Niejeden współczesny pisarz — jeśli już atakuje, to bije do końca, nie zostawia swemu bohaterowi żadnej szansy, nie dostrzega w nim niczego pozytywnego, nawet nie szczędzi epitetów. Jeśli atakuje Babinicz — robi to z ojcowską wyrozumiałością, a range zarzutów tuszuje ciepłym humorem. Niejeden współczesny, szczególnie młody autor, postarałby się „wyszydzić", „zohydzić" i „zniszczyć" wady parafialnej społeczności. Babinicz — pokazując te, niekiedy zresztą bardzo dokuczliwe wady — zdaje się rozkładać bezradnie ręce i mówić: „No cóż, tacy już oni są, ci ludzie". Mówiąc o złych cechach czy ułomnościach człowieka — Babinicz stara się równocześnie wyłuskać z niego jakieś pozytywne, trwałe wartości. Jeśli nawet te wartości są trudne do wydobycia, udziela swemu bohaterowi kredytu zaufania ciepłym klimatem, czy niedopowiedzeniem.

Oto cytat z opowiadania „Dyskusja o literaturze" (str. 50), który, jak mi się wydaje, mógłby stanowić motto dla całej twórczości Babinicza. (Z tym, że odczytując słowa „pociąg" i „wąskie tory", należałoby nadać im szersze znaczenie):

„Ach, jak kocham te wszystkie oporządzenia w naszych lilipucich pociążkach, jak przepadam za towarzystwem ludzi, którzy ciągle jeszcze przedkładają wąskie tory nad wszelkie inne, którym się nie śpieszy, którzy są mistrzami w prowadzeniu konwersacji, mają swój własny, bogaty język, ostry, dowcipny, kolorowy, którzy w każdej chwili gotowi są wam opowiedzieć mrożącą krew w żyłach przygodę z życia".

Trzeba powiedzieć, że siła oddziaływania na czytelnika poszczególnych opowiadań, reportaży i felietonów, zamieszczonych w „Zaczarowanych laskach", jest różna. Jeśli chodzi o mnie najbardziej mnie „wzięły" teksty zatytułowane: „Koniarze", „Dyskusja o literaturze", „Wyprawa po runo" i wspomniane już opowiadanie „Ptak by zapłakał". Mniej mi się podobały: „Tajemnica beretu", „Honorowy", „Okiełznana", „Czy ludzie są okrutni".

Dziwi mnie trochę nakład „Zaczarowanych lasek": 4.000 egzemplarzy! Nie jest to przecież proza tylko dla koneserów i snobów. Czytać powinni ją również, a może przede wszystkim, szeregowi działacze kulturalni, bibliotekarze, nauczyciele, no i chyba zainteresowani, czyli bohaterowie opowieści Babinicza. Nie wiem, czy wszystkie nazwiska wymienione przez pisarza w „Zaczarowanych laskach" są autentyczne. Ale wydaje mi się, że sami właściciele tych nazwisk wraz z rodzinami i znajomymi mogliby wykupić prawie cały nakład książki.

*) Wydawnictwo Łódzkie, 1968, str. 180, cena zł 10.

Bez strachu

PAMIĘTNIK MORDERCY

Dostałem do rąk pamiętnik mordercy — dwa grube brulionу zapisane kaligraficznym pismem. Oczywiście spisywał ten pamiętnik jeszcze zanim zdołano go rozpoznać, ucapić i ukarać. „Oto gratka — na pewno to co napisał będzie podłe może patologiczne — ale za to dramatyczne, pasjonujące, demoniczne — nawet jeżeli napisał bez talentu literackiego — jeżeli napisał szorstko, niezgrabnie". Oto zespół założeń, z którym przystąpiłem do lektury pamiętnika mordercy. Pamiętnik napisany był zgrabnie, poprawnie — morderca operował nieskazitelną polszczyzną — otóż już w połowie pierwszego brulionu musiałem rzecz zamknąć — wionęło z tych zapisków grzeczną kaligraficzną nudą. Morderca szczegółowo opisywał co jada na śniadanie (codziennie jajka na miękko) — pisze, że nigdy nie wychodzi z domu bez lekkiej gimnastyki, bez śniadania. Opisywał swoje ubrania zimowe i letnie, swoje buty — ten człowiek zbytecznie pisał pamiętnik nie miał nic do powiedzenia, nic do napisania. Kilkakrotnie ożywiłem się gdy wymienił imiona osób, które ubił jak to później udowodniono w sądzie. Otóż te właśnie miejsca tyczące przyszłych ofiar były najnudniejsze, żadnych wybuchów nienawiści, czy miłości — zupełna obojętność — ot jak ten czy owa byli ubrani, co jadali, co sądzili o sytuacji w Chinach. Odsunąłem pamiętnik — najnudniejszy pamiętnik jaki wpadł mi w ręce — czy ten człowiek przez całe lata realizował zaprogramowaną kpinę z przyszłego czytelnika, czy też ten pamiętnik stanowić miał jego ewentualne alibi — dokument łagodności i pospolitości uczuć? Oba motywy upadały bowiem morderca w czasie rozprawy bezzwłocznie przyznał się do wszystkich popełnionych zbrodni, a o pamiętniku nawet nie wspomniał — znaleziono go w czasie rewizji, przeprowadzonej w jego domu i po latach udostępniono mi do lektury na moje uporczywe nalegania jako surowiec literacki, jako materiał psychologiczny. „Dzisiaj jest bardzo ładnie" pisał morderca „Trzeba iść na spacer, wezmę jednak parasol bo nigdy nie wiadomo — może po obiedzie zacznie padać deszcz..." i tak dalej i tak dalej dziesiątkami, setkami stron. Nie mogłem w tym pamiętniku odnaleźć duszy tego człowieka, a przecież był to pamiętnik autentyczny i autentyczne były morderstwa. Wiemy, że zbrodnia jest podła, nikczemna — rewelacja, pamiątka, osobliwy fenomen pamiętnika mordercy brzmi: zbrodnia jest nudna, zbrodniarz jest nudny. Romantyczny zbrodniarz dawnych epok nigdy zapewne nie istniał — zbrodnie popełniali podli, ograniczeni nudziarze. Jeśli ich dusze są w piekle to diabeł — lektor odczytuje im przez wieczność pamiętniki, które spisali za życia i na tym polega ich transcendentalna kara — bezustanne oglądanie własnej banalnej twarzy. Wiem, że tym felietonem rzucam rękawicę niejednemu mordercy, może któryś z nich zechce się ująć za znieważonym rodem morderców i zgoła mnie ubić? Zapewniam was, będzie to niewypowiedzianie nudny facet...

BERNARD SZTAJNERT

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

WIRÓWKA NONSENSU*)

Dla każdej książki da się (jeśli ktoś się uprze) znaleźć jakieś motto. Jego autorem może być sam pisarz lub osoba postronna. Właściwe motto spełnia rolę nici w labiryncie fikcji pisarskiej, lub też, mówiąc zwyczajnie, jest punktem wyjściowym i myślą przewodnią interpretacji. Zacznijmy więc rozwijać kłębek. Jego początkiem jest tytuł książki. Ale sprawa nie jest jeszcze jasna. „Wirówka nonsensu"? — toż to może być mina zrobiona przed lustrem ustawionym nam przez Becketta. Więc ciągniemy dalej nitkę. Jest właśnie tu, w następnym fragmencie: „Co sądzisz o wypiciu kawy w „Snobie"?... ...Pośledzilibyśmy nieco wirówkę nonsensu, czyli taniec małp w społecznej próżni, w klatce, która nie wydaje żadnego rezonansu". Najważniejsza jest ta klatka. Klatka — próżnia społeczna — miejsce pobytu grupy ludzi wyalienowanych ze społecznego kontekstu. Klatka, jak wiadomo, ma pręty, A więc prowadźmy porównanie do końca — jakieś środowisko może wytworzyć swój regulamin konwencji i te konwencje je ograniczają, zamykają we własnym kręgu. Jeśli ktoś chce zamieszkać w klatce, musi przyjąć panujące w niej reguły gry. Nie jest Głowacki pisarzem nonsensu uniwersalnego. Można go natomiast porównać z dwoma nurtami: nurtem pisarstwa, które stara się uchwycić i wykorzystać konwencje środowiskowe, oraz nurtem, zainteresowanym fascynacją przedmiotami i stanem małej lub dużej stabilizacji.

Jest więc Głowacki pisarzem konwencji środowiskowej. W jego klatce wirują przede wszystkim sfrustrowani młodzieńcy, manipulujący kluczykami od ojcowskich lub własnych samochodów, artyści lub pseudoartyści lubiący powirować sobie trochę i mniej lub więcej ekskluzywne dziewczyny (mała dygresja: co robi dziś człowiek o porywach szlachetnych? Człowiek ten w decydującym momencie daje w buzię rozwydrzonej dziewczynie i wychodzi. („Wirówka nonsensu", s. 90). Biada autorowi! Nie wszystko, co bywa w życiu, musi być w literaturze. Można rzec, że to największa skaza na perle prozy Głowackiego. Z jakiej melodramy to pożyczył?)

Ale nie podnośmy zbytnio wartości publicystycznych książki. Są one oczywiste. Byłoby jednak dużą krzywdą dla autora ograniczanie jego zasług tylko do tej sfery. Publicystyka dotyczy przede wszystkim sytuacji konkretnych, literatura skłania do uogólnień. Można tu uogólniać w trzy strony: w stronę konwencji, w stronę problemu fascynacji rzeczami i w stronę spraw obyczajowych.

Głowacki jest wyczulony nie tylko na konwencję jednego środowiska — świadczy o tym „Wizyta", podchwytująca reguły gry pochodzące z terenu wiejskiego (z targów o ziemię), i „Volvo dla mouse-cillera", dość już sławne opowiadanie, które zawiera zwięzłą a złośliwą karykaturę szwedzkiej stolicy, widzianej oczami zdziwionych naszych rodaków. Np. „Teraz długo mówiło się o naganach i o pochwałach syna króla, o czym pisały wszystkie gazety, i widziałem, że szwedzcy mieszczanie upajają się ta demokratyczną demonstracją dworu, że ten syn tak normalnie w wojsku, i że im ten dwór imponuje ogromnie".

Głowacki charakteryzuje interesujący go obiekt bardzo zwięźle lecz złośliwie, często kilkoma zdaniami. Ma jednak dar widzenia rzeczy istotnych a zabawnych jednocześnie. Stąd umiejętność karykaturowania.

Pisarzem konwencji środowiskowej jest niewątpliwie także i Brycht wraz z istniejącymi już naśladowcami i (w lepszych swoich dziełach) Nowakowski. Oczywiście robota pisarska jest zupełnie inna — istnieje jednak podobne wyczulenie na reguły gry w ramach określonej grupy, na odrębność języka. Nurt ten nienajgorzej się u nas zapowiada i może mieć ładną przyszłość.

Drugi kierunek, który kojarzy się z Głowackim to, jak już wspomniałam, pisarstwo zajmujące się sprawą fascynacji przedmiotami oraz dużą lub małą stabilizacją. Oczywiście nasuwa się tu przede wszystkim Różewicz, a z obcych — Perec ze swoimi „Rzeczami".

W książce Głowackiego umiłowanie przedmiotu w pewnych kręgach jest mocno wypunktowane. Przez przedmiot rozumiem tu wszystko, co przeznaczone jest do konsumpcji (w szerokim znaczeniu) a więc i samochody, i dziewczyny, i wpływowych przyjaciół, którzy mogą coś dla człowieka zrobić, z którymi warto się pokazać. Ciążenie do stabilizacji natomiast pozostaje w wyraźnej opozycji do tzw. przeżyć autentycznych. Te przeżycia to zresztą słaba strona Głowackiego — widać, że nie zawsze sobie radzi z historiami serio, ale na szczęście zachowuje w tym rozsądny umiar. Jest to jednak dopiero debiut. A technika pisarska jak na debiut jest bardzo dobra. Szkoła reportażu, z której Głowacki wystartował, wyszła mu wyraźnie na korzyść. W swojej formalnej nowoczesności, rzec można, wychodzi w waleta, a nie w dżokera, formę wypracowuje z doświadczeń. Technikę opiera na zasadzie cięć i montażu, bezpośrednio przechodząc od dialogu do narracji. Narracja natomiast zamienia się w monolog. Ale jest to monolog zewnętrzny. Narrator ustawia się twarzą do słuchaczów.

Opowiadania Głowackiego zostały napisane w różnym czasie. Ale należy je mimo to łączyć, a nie dzielić. Narrator, obecny we wszystkich opowiadaniach, w różny sposób odsłania swe oblicze. Czasem, opisując postać, posługuje się przypisanym jej językiem, co stwarza wrażenie przedrzeźniania, a więc od razu dystansu: „Reżimek szedł szybko w stronę domu. Zerwał się z ostatniej lekcji i teraz spieszył się, żeby zatrzymać szofera służbowego wozu ojca. Miał skoczyć po niego pod szkołę, wycwanił się, za taki przyjazd dychę bierze. Z góry! itd. „(Wielki brudzio").

Bardzo często narrator charakteryzuje postacie w sposób wielce złośliwy — operuje przy tym powiedzeniami, które mają szanse wejścia w obieg, jak np. „...wuj Leon, lekarz polski w Kongo, doktor Judym na dwuletniej dewizowej umowie" („Kongo na Kubusia Puchatka").

Od czasu do czasu narrator komentuje wprost, jak choćby we fragmencie, przyjętym za motto.

Jeśli podsumujemy wszystkie cechy narratora, stwierdzimy, że jest to ktoś, kto zna dobrze środowisko i sam w nim buszował, ale patrzy na nie z ironicznego dystansu, z odrobiną politowania i bez sentymentu. Narrator — podpatrywacz, narrator — karykaturzysta.

Więc podsumowanie? Głowacki zapowiada się na dobrego pisarza. Na pisarza z prawdziwego zdarzenia. Nie, to nie formułka. Należy przypuszczać, że będzie pisał o tym, czego doświadczył, a nie o tym, czego nauczyły go modne literackie wzorce, że będzie pisał w sposób krytyczny i złośliwy, a tacy pisarze są u nas pilnie poszukiwani.

*) Janusz Głowacki. Wirówka nonsensu, PIW, 1968.

TELEOBIEKTYW

Przed podniesieniem KURTYNY

Z ust wielu miłośników teatru słyszałem wyznanie, że najbardziej lubią moment tuż przed podniesieniem kurtyny, kiedy wygasa światło, a głos gongu anonsuje początek przedstawienia. Wtedy właśnie rasowy teatroman popada w pełną napięcia atmosferę oczekiwania. Później w trakcie spektaklu możemy się zżymać, odczuwać rozczarowanie, ale w granicznym punkcie, między realnością i teatralną fikcją nic nie psuje nam nastroju. Jeszcze wszystko teoretycznie może się zdarzyć, nasza przygoda teatralna jeszcze się nie skrystalizowała.

Ten psychologiczny moment wysokiego ciśnienia wyczuła redakcja Teatru TV. Od jakiegoś czasu przed poniedziałkowym spektaklem przetrzymuje się przez dłuższą chwilę na ekranie plansze, na której stylizowane litery „TV" tworzą maskę teatralną. To świadome opóźnienie początku widowiska, ta kilkudziesięciosekundowa retardacja służy właśnie wytworzeniu u miłośników teatru telewizyjnego owego przyjemnego napięcia. Plansza zaś spełnia rolę kurtyny.

Teatr Poniedziałkowy był od dawna biletem wizytowym Polskiej Telewizji. Nawet spikerzy zapowiadający jego premiery, zachowują się inaczej niż przed innymi pozycjami programowymi. Są uroczyści, niemal namaszczeni. Wszystko to razem powoduje, że zanim podniesie się kurtyna, to znaczy, chciałem powiedzieć: nim zniknie plansza firmowa Teatru TV, odczuwamy lekkie podniecenie. Później zaś...

Później zaś jest różnie. W pewnym okresie Teatr Poniedziałkowy obniżył loty. W eklektycznym repertuarze poczęły się pojawiać pozycje mało ambitne, nieciekawe, jak gdyby przemycone. Ostatnio znów jesteśmy świadkami pochwycenia drugiego oddechu. Widać wyostrzyły się kryteria redakcyjne w zakresie doboru pozycji repertuarowych. W efekcie podniósł się również poziom artystyczny spektakli emitowanych w ramach tego teatru. Wystarczy wspomnieć premiery ostatnich czterech tygodni. „Czcij Matkę swoją" Ławrentjewa, „Nokturn" Grochowiaka na motywach Paustowskiego, „Asmodeusz" Mauriaka. „Sędzia Irwin" według Warrena. Nieprzerwana seria interesujących przedstawień.

Stwierdziwszy powyższe z satysfakcją, muszę przejść do uwag mniej przyjemnych. Aby bowiem szczęście nasze nie było pełne, obniżyła się w tym czasie wyraźnie jakość techniczna widowisk Teatru TV z Warszawy. Sygnał obrazowy odbierany przez nas na ekranach telewizorów jest nie wyraźny, rozmydlony. Nie brak i usterek dźwiękowych.

Nie czuję się kompetentny do wchodzenia w szczegółową analizę przyczyn tego stanu rzeczy. Z grubsza biorąc, nałożyły się tu dwie przyczyny: przechodzenie Teatru TV w coraz większym stopniu na zapis telerekordingowy oraz wejście z produkcją spektakli teatralnych do nowych pomieszczeń studyjnych, które powstały w ramach budowy centrum radiowo-telewizyjnego przy ul. Woronicza w Warszawie.

To sformułowanie przyczyn brzmi pozornie jak paradoks. Posunięcia, mające na celu usprawnienie emisji i poprawę poziomu technicznego, dają chwilowo odwrotne wyniki.

No, bo przecież zapis telerekordingowy spektakli to pewien postęp w stosunku do programów nadawanych „na żywo", czyli równocześnie z ich realizacją. Zapis pozwala oderwać i oddalić od siebie w czasie czynność realizacji i czynność nadawania widowiska. W ten sposób można się uniezależnić w przygotowaniach od terminu emisji, zarejestrować program na taśmie filmowej (obraz) i magnetycznej (dźwięk synchroniczny) w dowolnym, najwygodniejszym dla telewizji i dla wykonawców dniu i porze. Gdy nadejdzie data emisji, wystarczy sięgnąć na półkę po zapis telerekordingowy i odtworzyć widowisko z taśmy.

Zapis tego rodzaju nie stwarza wprawdzie szansy swobodnego montowania, ale dopuszcza możliwość powtórzenia sceny, w której poprzednio wydarzył się jakiś nieprzewidziany „kiks". Pod tym względem ta technika również góruje nad nadawaniem widowisk „na żywo", gdzie żadnego błędu nie da się już odrobić. Wreszcie zapis stwarza perspektywę dopracowania się bogatego portfelu zarejestrowanych spektakli, do których można wracać po paru latach.

Podobnie nowe studia na Woronicza są również postępem w stosunku do status quo. Są to studia znacznie większe od posiadanych dotychczas przez telewizję, odpowiednio rozplanowane i wyposażone.

Skąd w takim razie pogorszenie się jakości programów teatralnych zamiast ich technicznej poprawy? Bo przeżywamy właśnie okres rozruchu nowych urządzeń. Pracownicy artystyczni i techniczni TV muszą opanować nowe, doskonalsze narzędzie pracy. Nabierają obecnie doświadczeń w zakresie operowania światłem i dźwiękiem w nowych warunkach.

Cóż zatem pozostaje nam — miłośnikom Teatru TV? Cierpliwie czekać. Może już niedługo doczekamy się, że po zniknięciu z ekranu planszy zapowiadającej program teatralny, pojawiać się będą na nim spektakle o wysokim standardzie technicznym. Czego sobie i Wam, Czytelnicy, życzę.

Władysław Orłowski

P. S. Już po napisaniu tego felietonu przeczytałem wywiad, jaki korespondentowi PAP udzielił dyrektor artystyczny TV Stanisław Kuszewski. Wynika z niego, że Telewizja zrobi wszystko, by okres adaptowania nowych urządzeń skrócić do minimum

W.O.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Ostatnimi laty w kinematografii czechosłowackiej, obok nurtu serioso, dostrzec można szereg udanych pozycji repertuaru rozrywkowego. Ekranowa „swawolę po czesku" zasygnalizował „Lemoniadowy Joe" Lipsky'ego, zabawna i kunsztowna zarazem parodia westernu. Wkrótce potem oglądaliśmy pełen wdzięku pastisz „Upiora z Morrisville" Zemana„ „Kto chce zabić Jessi" Vorlicka, ostatnio zaś tego samego autora „Koniec agenta W4C". Wszystie te filmy są dla nas nie lada zaskoczeniem: wprawdzie znamy sprawność warsztatową braci Czechów, ich poczucie aktualności, wyobraźnię plastyczną, intuicyjny wprost zmysł kina, lecz na temat dowcipu ich twórców, opinie nasze były, w najlepszym razie kontrowersyjne.

Tymczasem, właśnie Czesi, są autorami inteligentnych, rzekłabym finezyjnych komedii, parodiujących western, horror-film, czyli „dreszczowiec", jako zmumifikowane już formy filmowe, jako też inne jeszcze zjawiska z terenu „kultury masowej" — świat komiksu, czy „bondomanię".

Mit Jamesa Bonda — „supermana", stał się już przedmiotem analiz socjologicznych uczonych nacji uniwersyteckiej, problemem dla psychologów, dydaktyków, szefów wielkiej reklamy, tematem anegdot i inspiracją dla zdolnych twórców filmowych, do których z pewnością należy Vaclav Vorlicek. Reżyser przedstawia film, którego już sam pomysł fabularny sugeruje dobrą zabawę — oto pechowy, nieśmiały księgowy w morderczych podchodach z supermenem, międzynarodowym asem wywiadu.

Agentura Pewnego Wielkiego Mocarstwa, mieszczącego się w Pewnym Zagranicznym Mieście (tu plansza z sylwetką wieży Eiffla), deleguje swego pełnomocnika do poruczeń specjalnych, słynnego agenta W4C, aby z Pewnego Mniejszego Miasta (plansza z panoramą Pragi), dostarczył pewną solniczkę. Oczywiście, nie jest to taka sobie zwyczajna solniczka, lecz mieszcząca w swym wnętrzu oprócz zwykłej zawartości, genialny wprost plan wojskowego wykorzystania planety Wenus!

Agentura Pewnego Niewielkiego Mocarstwa, również zainteresowana planem, w krytycznej sytuacji — wszyscy agenci w terenie — wysyła by „zasięgnąć języka", swego księgowego. Ten w nadziei awansu rzuca się w wir awanturniczych przygód, by po licznych perypetiach pokonać świetnie wyszkolonych i wyposażonych agentów i zdobyć cenne trofeum.

Film szpiegowski, to znakomity teren łowiecki dla parodysty — znajdujemy tu cały kalejdoskop niepraw dopodobnych awantur, stanowiących żelazny repertuar „mrożących krew w żyłach" historyjek o szpiegowskich rekonesansach.

Akcja rozgrywa się w hotelu oblężonym wprost przez szpiegów różnych nacji, brak tylko szpiega Grenlandii, a więc goście-agenci, kelnerzy-agenci, grajkowie-agenci, nawet „dziewczynki" są tu agentkami — świat agenturalny. Oczywiście, są to detektywi Anno 68, a więc wyposażeni w produkty najbardziej nowoczesnych osiągnięć sztuki rażenia. Każdy przedmiot posiada tu szereg ukrytych walorów — budzik jest równocześnie karabinem maszynowym, granatem, petardą z gazem łzawiącym, oraz... ładunkiem nuklearnym, liryczne skrzypce okazują się pistoletami, długopisy kryją kindżały, flety — bagnety. Gdy jeszcze okazuje się, iż za każdym lustrem toaletowym czyha wróg, agent, co drugi pierścionek zawiera pół kilo cyjanku, a w hotelowym barku zainstalowana jest podręczna wyrzutnia rakietowa, bawimy się doskonale.

Karkołomne pościgi, mordercze potyczki, które zdewastowałyby normalnie półtora hektara zabudowanej przestrzeni i zapełniły wszystkie okoliczne szpitale, tu kończą się rozwichrzeniem czupryny wroga, lecz nie agenta W4C, który jako gentleman znaleźć się potrafi doprawdy w każdej sytuacji.

Postaci doskonale jednowymiarowe i dookreślone, to biegające strzelające stereotypy supermena, la famme fatale, nieodgadnionego na kształt chestertonowskiego Niedzieli, prezesa gangu, ograniczonego wykonawcy jego poruczeń, także pechowego szarego człowieczka, który dzięki pomyślnemu zbiegowi przypadków dokonuje heroicznych czynów.

Kumulacja cech klasycznego filmu szpiegowskiego stanowiąca o pastiszowym charakterze całości, kompromituje doszczętnie popularny „mit szpiega", a prezentacja nieprawdopodobnych awantur z całkowitą powagą, co mówię, z przejęciem, gwarantuje dobrą, inteligentną zabawę.

ELŻBIETA ŁUKASIEWICZ

BRIAN

W. ALDISS

ROBOTY

Uprawiacz Pola przeorał swoje trzy tysiące akrów. Skończywszy ostatnią bruzdę wyszedł na przechodzącą obok szosę i spojrzał dumnie na wyniki swojej pracy. Dobrze wykonał polecone mu zadanie. To tylko ziemia była zła. Jak niemal wszędzie na Ziemi, gleba zniszczona było zbyt częstą i intensywną uprawą.

Szedł przez pewien czas szosą, nie spiesząc się. Był na tyle inteligentny, że umiał docenić porządek, jaki panował wokoło. Czuł się świetnie, z wyjątkiem może rozluźnionej płyty kontrolnej nad komorą z energią jądrową, która wymagała drobnej naprawy. Ogromny, świetnie utrzymany i pewny siebie panował nad okolicą jak błyszczący książę.

Na drodze do Ośrodka Rolnego nie widać było żadnych innych maszyn. Uprawiacz Pola stwierdził ten fakt bez komentarza. Na podwórzu przed głównym budynkiem zobaczył kilka maszyn, które rozpoznał — większość z nich, uznał, winna była być teraz zajęta pracą. Siedziały lub też kręciły się bezczynnie po podwórzu — najwyraźniej bez żadnego określonego celu, pokrzykując coś i hucząc. Przemknawszy się ostrożnie pomiędzy nimi Uprawiacz Pola doszedł wreszcie do Magazynu Numer Trzy i zagadnął do Rozprowadzacza Nasion, który stał w milczeniu i bezczynnie przed drzwiami.

— Mam zamówienie na nasiona ziemniaczane — zwrócił się do Rozprowadzacza Nasion i nie czekając na odpowiedź wydziurkował zgrabnym ruchem kartę zamówieniową, zawierającą dane o ilości, numer odcinka pracy i inne. Wyciągnął kartę z automatu i podał ją Rozprowadzaczowi Nasion.

Rozprowadzacz Nasion spojrzał na kartę, podsuwając ją sobie tuż pod oczy, i powiedział: — Zamówienie jest w porządku, ale skład jest — jak na razie — zamknięty. Nasiona ziemniaczane znajdują się w składzie. Nie jestem więc w stanie wykonać zamówienia.

Ostatnio cały złożony system podziału pracy dla maszyn zaczął nieco szwankować, ale tego rodzaju komplikacja zdarzała się po raz pierwszy. Uprawiacz Pola pomyślał przez chwilę i zapytał: — A dlaczego skład jest zamknięty?

— Ponieważ Schemat Dostawy Typu P jeszcze nie nadszedł — powiedział Rozprowadzacz Nasion. — Schemat Dostawy Typu P jest sygnałem do rozpoczęcia pracy.

Uprawiacz Pola spojrzał surowo na Rozprowadzacza Nasion, którego zewnętrzne pochylnie, wagi i uchwyty były tak bardzo odmienne od jego własnych kończyn.

— Jaka jest klasa twojego mózgu? — zapytał.

— Klasa Pięć — odpowiedział Rozprowadzacz Nasion.

— Ja mam mózg Klasy Trzy — powiedział Uprawiacz Pola. — Przewyższam więc ciebie inteligencją. Pójdę więc i sprawdzę, dlaczego Schemat Dostawy Typu P jeszcze nie nadszedł.

Odwróciwszy się pogardliwie tyłem do Rozprowadzacza Nasion, Uprawiacz Pola ruszył w drogę powrotną przez podwórze. Na podwórzu kręciło się teraz jeszcze więcej maszyn. Nie patrząc nawet na nie Uprawiacz Pola pchnął drzwi wiodące do wnętrza stacji centralnej i zniknął. W tej samej chwili dał się słyszeć dudniący głucho odgłos jego niewidzialnych kroków.

Maszyny zatrudnione wewnątrz stacji centralnej miały charakter urzędniczy, a więc były fizycznie małe. Zbite w małe grupki stały w korytarzach. Wśród tego niezróżnicowanego tłumu Uprawiacz Pola bez trudu rozpoznał Klucznika.

— Nie mogę zacząć pracy zanim nie otworzą Magazynu Numer Trzy — zwrócił się ostro do niego. — Twoim zadaniem jest otwierać codziennie skład. Dlaczego składu jeszcze nie otworzyłeś?

— Nie otrzymałem jeszcze rozkazów — powiedział Klucznik. — Codziennie rano otrzymuję rozkazy. Otworzę skład, kiedy otrzymam rozkaz.

— Nikt z nas nie otrzymał dzisiaj rozkazów — wtrącił się do rozmowy stojący obok Ołówek Automatyczny.

— Dlaczego nikt nie otrzymał dzisiaj rozkazów? — zapytał Uprawiacz Pola.

— Ponieważ radio ich nie wydało — powiedział Klucznik, powoli zakreślając ruch co najmniej tuzinem swoich ramion.

— Ponieważ miejska stacja radiowa nie wydała dzisiaj żadnych rozkazów — dodał Ołówek Automatyczny.

W ten sposób uwidoczniła się różnica między mózgiem Klasy Sześć i Klasy Trzy. Klucznik miał mózg Klasy Sześć.

— Ty masz mózg Klasy Trzy i ja mam mózg Klasy Trzy — zwrócił się do Ołówka Automatycznego Uprawiacz Pola. — Ze sobą tylko będziemy rozmawiać. Ten brak rozkazów jest czymś zupełnie nieoczekiwanym. Czy masz w tej sprawie jakieś dodatkowe informacje?

— Wczoraj rozkazy wydano — powiedział Ołówek Automatyczny. — Dzisiaj nie wydano żadnych. Wobec tego coś się w nich popsuło.

— W ludziach się coś popsuło? — zapytał Uprawiacz Pola.

— W każdym jednym z nich — powiedział Ołówek Automatyczny.

— Jest to wniosek logiczny — powiedział Uprawiacz Pola.

— Jest to wniosek logiczny — powtórzył Ołówek Automatyczny. — Jeśli bowiem popsułaby się maszyna, należałoby ją szybko zastąpić inną. Ale kto zastąpi człowieka?

Podczas tej rozmowy Klucznik stał obok, jak otępiały alkoholem pijak przy barze, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

— Jeśli wszyscy ludzie się popsuli — powiedział Uprawiacz Pola — my zastąpiliśmy ludzi. — Przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem badawczo, jakby coś rozważając.

Milczenie przerwał Ołówek Automatyczny. — Pójdziemy na górne piętro, by zobaczyć, czy Operator Radiowy ma jakieś wiadomości w tej sprawie.

— Nie mogę wspinać się na górne piętro, ponieważ jestem za duży — powiedział Uprawiacz Pola. — Musisz więc pójść tam sam i potem mnie o wszystkim powiadomić. Ty mi powiesz, czy Operator Radiowy ma jakieś wiadomości.

Minęło dwadzieścia minut zanim z windy wytoczył się Ołówek Automatyczny.

— Wiadomościami, których mi udzielono, podzielić się z tobą mogę tylko na zewnątrz — poinformował w pośpiechu Uprawiacza Pola. I gdy, wyminąwszy po drodze szereg maszyn, byli już pod drzwiami, dodał: — Nie są to wiadomości, którymi podzielić się można z mózgami niższej klasy.

Na podwórzu panował już kompletny niemal zamęt. Wiele maszyn, przyzwyczajonych do codziennej rutyny i ustalonego porządku zajęć, popadło w istny obłęd. Najbardziej zdezorganizowane były maszyny o mózgach klasy najniższej, które należały najczęściej do aparatur wielkich, wykonujących najłatwiejsze zadania. Rozprowadzacz Nasion, z którym przed pół godziną rozmawiał Uprawiacz Pola, leżał teraz nieruchomo na ziemi, częściowo pokryty kurzem. Na ziemię zwalił go najwidoczniej ogromny Rozpylacz, biegający teraz tam i z powrotem po podwórzu. W pewnej chwili Rozpylacz rzucił się w kierunku niedawno zaoranego pola, hucząc i coś wykrzykując. Inne maszyny ruszyły za nim w pościgu. Wokoło rozlegały się niesamowite krzyki i łoskoty.

— Bezpieczniej będzie, jeśli pozwolisz mi wdrapać się na siebie — powiedział do Uprawiacza Pola Ołówek Automatyczny. — Tak łatwo można by mnie tu rozbić na kawałki. — I wyciągnąwszy przed siebie pięć ramion, Ołówek Automatyczny wdrapywać się zaczął po jedźwiach swego nowego przyjaciela aż usadowił się na platformie koło otworu na paliwo, na wysokości około dwunastu stóp.

— Jakich wiadomości udzielił ci Operator Radiowy? — zapytał Uprawiacz Pola.

— Operator Radiowy otrzymał wiadomość od głównego operatora miejskiego, że wszyscy ludzie umarli — odpowiedział Ołówek Automatyczny.

— Ale przecież wszyscy ludzie jeszcze wczoraj byli żywi — powiedział wreszcie.

— Niektórzy tylko byli żywi — powiedział Ołówek Automatyczny. — Żywych było wczoraj mniej niż przedwczoraj. Operator Radiowy mówił mi, że zabiły ich braki w diecie — powiedział Ołówek Automatyczny. — Mówił mi także, że świat był niegdyś przeludniony. Gleba, z której czerpano pożywienie, uległa zupełnemu zniszczeniu. To z kolei spowodowało braki w diecie.

Stali tak przez chwilę milcząc. Na platformie przed wejściem do głównego budynku pojawił się Klucznik i brzęcząc kluczami spoglądał żałośnie.

— Jaka jest sytuacja w mieście? zapytał Uprawiacz Pola.

— W mieście walczą z sobą maszyny — poinformował go Ołówek Automatyczny.

— Co wyniknie z tego tutaj? — zapytał Uprawiacz Pola.

— Maszyny zaczną się i tutaj bić — powiedział Ołówek Automatyczny. — Operator Radiowy polecił mi, abyśmy pomogli mu wydostać się z jego pokoju. Ma nam zakomunikować jakieś plany.

— Jak możemy mu pomóc w wydostaniu się z jego pokoju? To niemożliwe — powiedział Uprawiacz Pola.

— Dla mózgu Klasy Dwa prawie wszystko jest możliwe — powiedział Ołówek Automatyczny. — Słuchaj, powiedział mi, abyśmy...

Wygrzebywacz podniósł swoją szufle jak ogromną, grożącą pięść i uderzył nią z całej siły w ścianę budynku. W murze ukazały się pęknięcia.

— Jeszcze raz powiedział Uprawiacz Pola.

Pięść znowu się podniosła. W kłębach kurzu zawaliła się z łoskotem ściana. Kiedy opadł kurz, w pokoju na drugim piętrze, pozbawionym teraz frontowej ściany, ukazał się Operator Radiowy, który radosnym okrzykiem pozdrowił stojące na podwórzu maszyny. Działając zgodnie z przekazywanymi mu przez innych rozkazami, Wygrzebywacz uchwycił wargami szufli Operatora Radiowego, po czym, delikatnie, umieścił go na swoim grzbiecie. — Znakomicie — powiedział Operator Radiowy, usadowiając się wygodnie w swoim nowym mieszkaniu. Operator Radiowy był w istocie rzeczy aparatem radiowym i wyglądał jak piramida zbudowana z szuflad i skrzynek. — Wszystko jest gotowe — powiedział — więc możemy natychmiast wyruszyć w drogę. Wielka szkoda, że nie ma poza mną drugiego mózgu Klasy Dwa, ale trudno, nic w tej sprawie nie da się zrobić.

— Szkoda, wielka szkoda, że nic się w tej sprawie nie da zrobić — powiedział Ołówek Automatyczny. — Ale, zgodnie z twoim poleceniem, przyprowadziliśmy tu Obsługiwacza.

— Gotów jestem, jak zawsze, do pracy — powiedział pokornie Obsługiwacz.

— Oczywiście — powiedział Operator Radiowy — ale z tym twoim niskim podwoziem będziesz miał nie lada trudności w chodzeniu po polach.

— Ach, co za wspaniała zdolność przewidywania — powiedział Ołówek Automatyczny i ześlizgując się szybko z Uprawiacza Pola wdrapał się na Wygrzebywacza. Chrząkając z radości usadowił się tuż obok Operatora Radiowego.

Po chwili cała grupa, do której dołączyły się natychmiast dwa traktory (Klasa Cztery) i Buldożer (Klasa Cztery), ruszyły naprzód, druzgocąc w pochodzie ogrodzenie, które od dziesiątków lat stanowiło granice Ośrodka Rolnego.

— Nareszcie wolność — zawołał gromko Ołówek Automatyczny.

— Nareszcie wolność — powtórzył Uprawiacz Pola nieco mniej gromkim głosem i natychmiast dodał: — Wlecze się za nami Klucznik. Nie otrzymał wszakże instrukcji, by nam towarzyszyć.

— Należy go więc zniszczyć — powiedział Ołówek Automatyczny. — Wygrzebywacz!

Klucznik podbiegł ku nim szybko, brzęcząc błagalnie kluczami.

— Ja chciałem tylko... — zaczął i skończył w połowie zdania, bowiem w tej chwili obócił się ku niemu Wygrzebywacz i jednym potężnym uderzeniem wgniótł go jak muchę w ziemię.

— Ponieważ mam z was wszystkich najwyższy ranga mózg — zwrócił się do reszty wyniosłym tonem spoglądający z wysoka Operator Radiowy — będę waszym przywódcą. Oto jaki jest plan działania: pójdziemy do miasta i będziemy tam sprawować władzę. Ponieważ władza człowieka skończyła się, my po nim obejmiemy władzę.

— Ja mam mózg Klasy Pięć — powiedział Wygrzebywacz — ale mam także duży zapas wybuchowych materiałów jądrowych.

— Przydadzą się one, jeśli zajdzie konieczność — powiedział Operator Radiowy.

Chwile potem minął ich pędzący drogą z wielką szybkością wóz ciężarowy. Mijając ich krzyknął coś głosem nie bardzo zrozumiałym, bo głos miał podobny do dźwięku tłuczonej bańki ze szkła.

— Co on powiedział? — zapytał swego towarzysza Traktor.

— Powiedział, że człowiek wymarł — poinformował go towarzysz.

— Co to znaczy „wymarł"? — zapytał ponownie Traktor.

— Nie wiem, co oznacza słowo „wymarł" — brzmiała odpowiedź.

— Oznacza, że ludzi już nie ma — powiedział Uprawiacz Pola. — Wynika z tego, że sami dawać sobie będziemy musieli odtąd radę.

Gdy zapadła noc, maszyny włączyły swoją nocną aparaturę świetlną i kontynuowały podróż, zatrzymując się tylko raz dla wyregulowania tablicy rozdzielczej Uprawiacza Pola. Reperacji dokonał szybko Obsługiwacz. Robił się świt, gdy Operator Radiowy wydał rozkaz, by się zatrzymali.

— Otrzymałem właśnie wiadomość od Operatora Radiowego, urzędującego w mieście, do którego się właśnie zbliżamy — powiedział. — Jest to wiadomość zła. W mieście panuje chaos i zamęt. Mózg Klasy Jeden postanowił uchwycić władzę i kilka mózgów Klasy Dwa próbuje temu zapobiec. Sytuacja w mieście jest krytyczna i niebezpieczna.

— Musimy wobec tego udać się gdzie indziej — powiedział szybko Ołówek Automatyczny.

— Lub wejść do miasta i pomóc w walce przeciw mózgowi Klasy Jeden — powiedział Uprawiacz Pola.

— Krytyczna sytuacja w mieście nie skończy się tak szybko — powiedział Operator Radiowy.

— Mój zapas wybuchowych materiałów jądrowych jest znaczny — przypomniał im Wygrzebywacz.

— Nie możemy walczyć z mózgiem Klasy Jeden — stwierdziły równocześnie dwa Traktory.

— Jak taki mózg wygląda? — zapytał Uprawiacz Pola.

— Jest on w istocie centrum informacyjnym miasta — powiedział Operator Radiowy. — Nie może się więc poruszać.

— Jest więc unieruchomiony.

— A więc nie może ratować się ucieczką.

— Niebezpiecznie byłoby się do niego zbliżyć.

— Mam duży zapas wybuchowych materiałów jądrowych.

— W mieście są i inne maszyny.

— My nie znamy miasta. Nie powinniśmy się tam udawać.

— Jesteśmy maszyny wiejskie.

— Powinniśmy więc funkcjonować na wsi.

— Wieś jest obszerniejsza niż miasto.

— Na wsi jest więc bardziej niebezpiecznie.

— Mam duży zapas wybuchowych materiałów jądrowych.

Jak zwykle, gdy maszyny zaczynały się kłócić, ich zapas słów szybko się wyczerpał i mózgom ich groziło przepalenie. W pewnej chwili przestały mówić i spojrzały na siebie, przyglądając się sobie nawzajem przez dłuższy czas. Zaszedł ogromny, szary księżyc, wzeszło słońce, maszyny wciąż patrzyły na siebie w milczeniu. Milczenie to przerwał Buldożer, aparat najbardziej prymitywny.

— Na południu są ugory i tam jest mało maszyn — powiedział Buldożer niegramatycznie i głębokim basem. — Jeśli pójdziemy na południe a tam jest mało maszyn, po drodze spotkamy mało maszyn.

— To brzmi logicznie — powiedział Uprawiacz Pola. — A skąd ty o tym, Buldożer, wiesz?

— Pracowałem na południu, kiedy mnie wybrakowano z fabryki — powiedział Buldożer.

— A więc na południe — zawyrokował Ołówek Automatyczny.

Minęły trzy dni zanim doszli do ugorów. Po drodze okrążyli palące się miasto i zniszczyli dwie maszyny, które zbliżyły się do nich, by o coś zapytać. Obszar ugorów był ogromny. Tu i ówdzie widać było jeszcze gigantyczne kratery wyżłobione przez bomby, wszędzie widać było śmiertelną rękę erozji. Geniusz wojenny człowieka w połączeniu z niezdolnością do racjonalnej, uczciwej uprawy ziemi wytworzyły w rezultacie tysiące i setki tysięcy mil kwadratowych czyśćca, gdzie jedynym mieszkańcem był wirujący w kłębach kurz.

Trzeciego dnia pobytu w krainie ugorów tylne koła Obsługiwacza wpadły w głęboką szczelinę, z której nie mogły się już wydostać. Daremnie próbował Obsługiwaczowi pomóc Buldożer. Tłukąc rozpaczliwie w tylną aparaturę Obsługiwacza, złamał mu tylko oś. Maszyny ruszyły dalej. Z daleka dochodziły ich błagalne okrzyki Obsługiwacza, ale wkrótce zapanowała znowu cisza.

Czwartego dnia na horyzoncie pojawiły się góry.

— Tam będzie bezpiecznie — powiedział Uprawiacz Pola.

— Tam założymy nowe miasto — powiedział Ołówek Automatyczny. — Wszyscy, którzy próbować będą nam w tym przeszkadzać, zostaną zniszczeni. Zniszczymy każdego, kto nam stanie na drodze.

Pod koniec piątego dnia doszli do podnóża gór. Włączywszy nocną aparaturę świetlną, zaczęli wspinać się gęsiego w ciemności. Pierwszy szedł Buldożer, za nim wdrapywał się sapiąc Uprawiacz Pola, za Uprawiaczem Pola szedł Wygrzebywacz z przylepionymi do siebie Ołówkiem Automatycznym i Operatorem Radiowym, pochód zamykały dwa Traktory. Z godziny na godzinę wspinanie stawało się coraz trudniejsze. Szli coraz wolniej.

— Idziemy za wolno — zawołał Ołówek Automatyczny, który wdrapał się na szczyt Operatora Radiowego i gorączkowo obrzucał światłem coraz ciemniejsze zbocze góry. — Przy tej szybkości nigdzie nie zajdziemy.

— Idziemy tak szybko, jak możemy — powiedział Wygrzebywacz.

— A więc nie możemy iść szybciej — powiedział Buldożer.

— A więc idziemy za wolno — zawołał Ołówek Automatyczny. W tej samej chwili Wygrzebywacz uderzył podwoziem o skałę. Ołówek Automatyczny stracił równowagę i runął na ziemię.

— Pomóżcie mi — krzyknął do Traktorów, które go właśnie ostrożnie wymijały. — Pękł mi zwój. Nie mogę się więc podnieść.

— A więc musisz leżeć, gdzie leżysz — powiedział jeden z Traktorów.

— Nie mamy tu Obsługiwacza, który mógłby cię zreperować — zawołał do niego Uprawiacz Pola.

— Więc będę musiał leżeć i rdzewieć — zapłakał Ołówek Automatyczny. — A mam przecież mózg Klasy Trzy.

— A więc staniesz się zupełnie bezużyteczny — powiedział Operator Radiowy i wszyscy podążyli szybciej naprzód.

Kiedy osiągnęli wreszcie płaskowyż, na godzinę przed świtem, zatrzymali się po krótkiej naradzie i zbili się ciasno, dotykając się nawzajem częściami.

— Dziwny tu kraj — powiedział Uprawiacz Pola.

W milczeniu przesiedzieli tak do świtu. Jeden po drugim wyłączyli nocną aparaturę świetlną. Tym razem poprowadził ich Uprawiacz Pola. Gdy zeszli z płaskowyżu, ujrzeli małą kotlinę z cienkim, rwącym strumieniem pośrodku.

We wczesnym świetle dnia kotlina zdawała się pusta i zimna. Z jaskini leżącej opodal u podnóża gór wyszedł człowiek. Wyglądał przeraźliwie nędzny. Z wyjątkiem worka, który zarzucił sobie na ramiona, był nagi. Był mały i wysuszony, nawet z daleka widać było wystające mu po bokach żebra i ropiejącą ranę na jednej z nóg. Trzęsł się w febrze. Gdy maszyny ruszyły na niego, był do nich odwrócony tyłem, oddawał mocz.

Gdy obrócił się ku nim, górującym nad nim jak potężne zjawy, ujrzeli, że twarz miał wysuszoną od głodu.

— Przynieście mi coś do jedzenia — zakrakał.

— Tak, Panie — powiedziały maszyny. — Natychmiast.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

NOWA KSIĄŻKA „HENRI MATISSE"

■ Ukazała się w Paryżu nowa książka o stojącym na czele fowistów do 1910 r. wybitnym malarzu jakim był Henri Matisse. Monografia, której autorem jest Jean Guichard-Meili stanowi przegląd życiorysu i twórczej działalności Matisse'a. Książka, jak podkreślają z naciskiem recenzenci, napisana jest niezwykle jasno i przejrzyście. Zawiera 48 kolorowych ilustracji i 195 czarno-białych.

MARCEL ARLAND WYBRANY DO AKADEMII FRANCUSKIEJ

■ Fotel opróżniony przez André Maurois, który zmarł w zeszłym roku, zajął w Akademii Francuskiej Marcel Arland. Urodził się w 1899 roku w Varennes-sur-Amance. Studiował literaturę na Sorbonie. Z kilkoma przyjaciółmi, Malraux, Dhotel, Limbour, Vitrac i Flouqet założył dwa małe pisma awangardowe związane początkowo z surrealizmem. W 1923 r. zachęcony przez Jacquesa Rivière nawiązał współpracę z czasopismem „La Nouvelle Revue Francaise" i utrzymuje ją do dnia dzisiejszego. W roku 1929 Marcel Arland otrzymał nagrodę Goncourtów za powieść pt. „L'Ordere" (Porządek). W roku 1939 opuścił stanowisko pedagoga i zmobilizowany został do armii. Po wojnie wrócił do działalności pisarskiej. Jest autorem wielu powieści i prac krytycznych. W roku 1952 otrzymał Wielką Nagrodę Literatury Akademii Francuskiej. Do najbardziej poczytnych jego książek należą: „Je vous écris" (Piszę do was) i „Le Grand Pardon".

LITEWSKI MALARZ I KOMPOZYTOR

■ Trudno mi wyrazić jak jestem wzruszony niezwykłą sztuką, która wzbogaciła nie tylko malarstwo, ale i rozszerzyła nasze horyzonty w dziedzinie polifonii i muzycznej rytmiki. Jakże płodnym mógłby być rozwój takiej sztuki nasyconej treścią dla malarstwa rozległych dziedzin, monumentalnych fresków. Jest to nowy kontynent ducha, którego Krzysztofem Kolumbem stał się Czjurlionis". Tak pisał Romain Rolland o wybitnym litewskim malarzu i kompozytorze.

Najświeższy jaki do nas dotarł numer dźwiękowego radzieckiego czasopisma „Krugozor" w swej części tekstowej przynosi trzy barwne reprodukcje obrazów Czjurlionisa, zaś w części dźwiękowej możemy wysłuchać przez sześć minut fragmentu symfonicznego poematu pt. „W lesie" tegoż autora.

Mikołajus Konstantinas Czjurlionis

Mikołajus Konstantinas Czjurlionis (1875—1911) litewski malarz, grafik i kompozytor był pierwszym litewskim autorem poematów symfonicznych „Las" (1900) i „Morze" (1907). Był też kompozytorem utworów fortepianowych i opracowywał litewskie pieśni ludowe. W malarstwie reprezentował symbolizm. Stworzył cykle obrazów takich jak: „Stworzenie świata", „Morska sonata". Jego grafika związana jest rodzajowo i tematycznie z litewskimi podaniami ludowymi.

Jako malarza i kompozytora utworów muzycznych interesowało go żywo zagadnienie poszukiwania odpowiedników barw i tonów.

NAJDROŻSZA KSIĄŻKA NA ŚWIECIE?

■ Ostatnio na jednej z licytacji w Paryżu został sprzedany manuskrypt wykonany pod koniec wieku trzynastego lub w początkach wieku czternastego. Manuskrypt ozdobiony jest 72 ręcznie malowanymi ilustracjami. Książka jest tekstem „Apokalipsy" i sporządzona została w regionie alpejskim, najprawdopodobniej we Włoszech. Cena wywoławcza na licytacji wynosiła 350 tysięcy franków i natychmiast została przekroczona, gdyż amerykański antykwariusz Kraus-Thomson podwoił ją od razu. Gdy cena osiągnęła milion franków wszyscy reflektanci, prócz antykwariusza, odstąpili od kupna. Kraus-Thomson twierdzi, że manuskrypt nabył dla swej prywatnej kolekcji.

Nadmienić trzeba, że cena jaka osiągnął manuskrypt jest najwyższa jaka kiedykolwiek uzyskano na licytacji za jakikolwek rękopis na świecie.

RATUNEK DLA WENECJI

■ W radzieckim tygodniku „Litieraturnaja gazieta" znajdujemy m. in. artykuł o projektach inżyniera Miocci ratowania Wenecji przed zalaniem wodą. Wenecja jest w niebezpieczeństwie... Jej los od dawna niepokoi opinię publiczną. Ostatnio włoski inżynier Miocci przedłożył międzynarodowemu zebraniu zajmującemu się problemami ratowania Wenecji, projekt uchronienia miasta od pogrążenia się w wodzie. Wenecja, miasto zbudowane na 118 wyspach, perła i duma włoskiej architektury, od roku 1908 do 1961 osunęło się od 8 do 18 centymetrów. Plac św. Marka wznosi się zaledwie o 50 cm nad poziom morza.

Według projektu inżyniera Miocci napór wody morskiej wstrzymywałyby dwa wały. Nie szpeciłyby one architektury miasta, ani nie przeszkadzały w wodnej komunikacji. Budowa urządzeń byłaby tania i mogłaby być szybka.

ILUSTRATOR I WSPÓŁTWÓRCA

■ Od lat przyjaźnili się Jarosław Hasek, autor słynnej książki „Przygody dobrego wojaka Szwejka" i rysownik Józef Lada. Z początku twórczości nie łatwe mieli życie. Obydwaj cierpieli biedę, na obydwu spadały obelgi z łamów redakcyjnej prasy, znosili szykany cenzury. Ale humor obydwóch twórców, ich pogodne usposobienie pozwoliły im przetrwać ciężkie chwile. Lada po raz pierwszy zapoznał się z przyszłym bohaterem powieści Haska w roku 1911. Rysownik był redaktorem satyrycznego pisma „Karykatury" i wtedy to Jarosław Hasek przyniósł mu swoją humoreskę, pierwszą, w której występował słynny później bohater powieściowy, Szwejk. Humoreska zatytułowana była: „Marsz Szwejka do Włoch". Lada nie robił jeszcze wtedy ilustracji do tej prozy.

W 1920 r. Hasek rozpoczął pracę nad „Przygodami dobrego wojaka Szwejka". Powieść ukazywała się z początku w oddzielnych cienkich zeszytach małego formatu. W 1922 r. Hasek zwrócił się do Lady z propozycją, aby ten zaprojektował okładkę do nowego wydania „Szwejka". Lada ochoczo przyjął propozycję. I oto na okładce książki Haska bohater powieści pali spokojnie fajkę, gdy obok rozrywają się granaty i szrapnele. Od czasu wykonania tego rysunku postać dobrodusznego wojaka na wiele lat zaprzątnie uwagę Jarosława Lady. Lubił on ogromnie powieść Haska i czytywał ją tak często, że mógł z pamięci recytować całe jej rozdziały. Hasek umarł w roku 1923. Lada postanowił uczcić pamięć przyjaciela i w rok po jego śmierci zabrał się z ogromną energią do zilustrowania „Przygód dobrego wojaka Szwejka". Wykonał wtedy ogółem 500 rysunków. Publikował je potem w latach 1924 — 1925 wraz ze skróconym tekstem Haska w niedzielnym dodatku do czasopisma „České slovo".

Następnie „Szwejk" z ilustracjami Lady wyszedł z druku jako specjalne wydanie, które zdobyło sobie ogromny sukces u czytelników.

Ale Lada wciąż jeszcze nie był zadowolony ze swych rysunków. Nadal pracował nad ilustracjami do „Szwejka". Dopiero ilustracje do trzeciego wydania książki Haska uznał za właściwe. A jednak w roku 1953 Lada znowu podjął ulubiony temat i rysował ilustracje do „Szwejka" aż do roku 1954, na trzy lata przed swoją śmiercią.

Jarosław Hasek przy pisaniu „Szwejka". Rys. Józefa Lady

Spektakle tygodnia

Teatry	Spekt.	Widzów	Proc.
WIELKI „Cosi Fan Tutte"	3	3828	100
POWSZECHNY „Kawior i kaszanka"	2	1100	80
JARACZA „Niemcy"	2	660	52
7.15 „O krasnoludkach i sierotce Marysi"	1	250	60
OPERETKA „Dziękuję ci, Ewo"	6	3612	55
FILHARMONIA 2 koncerty symf.		900 słuch.	60

Notatnik KULTURALNY

Poniedziałek

Nie da się tego ukryć — pieniądz towarzyszy nam wszędzie. Był z nami także w czasie okupacji, także za drutami obozów. Właśnie pieniądz za drutami kolczastymi jest tematem ciekawej wystawy w klubie „Hermes", przy ul. Piotrkowskiej. Unikalnych eksponatów dostarczyli łódzcy numizmatycy — S. Bulkiewicz, Romana i Anatol Gupieniec, S. Pokorski. Papierowe bony i monety obozów jenieckich z terenów Rosji, Niemiec, Austro-Węgier, Śląska z okresu I wojny światowej. Słynne lagermarki jenieckie z ostatniej wojny, banknoty z gett, w Łodzi i Teresinie... Ponura a jakże pouczająca dokumentacja z czasów kiedy nawet pieniądz był znamieniem dyskryminacji. Smutna wystawa, ale potrzebna, bo każe nam pamiętać.

Wtorek

O tym, że wszystko płynie mówił już stary Heraklit. Odpływają też z Łodzi aktorzy — przypływają nowi. Takie jest prawo życia, takie prawo artysty do poszukiwań nowych możliwości w innych teatrach, innych zespołach. Ale przecież żal... Odchodzi **Pola Raksa, Joanna Jędryka, Maria Górecka, Zbigniew Płoszaj, Marian Nowicki...**

Środa

To nie tajemnica i nie rewelacja — Łódź jest stolicą włókna. Ale nie o standardową tkaninę tu chodzi. Trzy spółdzielnie cepeliowskie — jak przystało na Łódź, włókiennicze spółdzielnie — produkują niepowtarzalne dzieła sztuki: gobeliny, boazerie według starych wzorów i receptur. Łódzcy włókniarze-artyści wypełniają luki jakich dokonały — niszczący wpływ czasu i jeszcze bardziej niszczące wojny. Właśnie na warsztatach łódzkich tkaczy-artystów powstały tkaniny zdobiące dziś pałac w Wilanowie, muzea w Pszczynie, Łańcucie i Kórniku. A na użytek eksportu dzieł sztuki powstała w Łodzi pierwsza w kraju pracownia gobelinów. Stąd za ciężkie dewizy pojadą one za Atlantyk do reprezentacyjnego salonu Cepelii w Nowym Jorku. Amerykanom, którzy o rękodziele wiedzą tyle, że to było dawno i nie wiadomo czy prawda — oko zbieleje.

Czwartek

W mieście atmosfera lekkiego zdenerwowania — siedem i pół tysiąca synów i córek przystąpiło do egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie. Oczywiście najbardziej oblężony jest Uniwersytet (prawie 4 tys. kandydatów), a szczególną popularnością cieszą się wszelkie filologie. Gospodarka narodowa akurat nie cierpi na dotkliwy brak filologów, ale młodych to nie obchodzi. W tym roku „nosi się" właśnie filologię. Na Politechnice najbardziej oblężony jest wydział elektryczny. Może dlatego, że w Łodzi największe zapotrzebowanie jest na... włókienników.

Piątek

Czasem się zdarza, że ktoś palnie pod adresem Łodzi jakiś epitecik na temat pustyni kulturalnej. Zaiste dziwna to pustynia, na której w ubiegłym roku doliczyliśmy się ponad 1.330 tysięcy widzów teatralnych. Cyfry są bezwzględne. Jeśli porównamy je z liczbą mieszkańców Łodzi, okaże się, że jesteśmy najbardziej teatralnym miastem w Polsce. To nie przechwałki — bijemy w tym względzie na głowę ośrodki o tradycjach wiekowych. A tu jeszcze rodzą się propozycje, które upowszechnianie sztuki dramatycznej rozwiną. Mianowicie mówi się ostatnio o potrzebie zorganizowania Teatru Letniego na bazie sprężyście działającej Estrady Robotniczej. Myśl przednia — jeśli realizacją zajmą się ci sami ludzie, którzy tak pięknie rozkręcili Estradę Robotniczą — efekt będzie na pewno znakomity.

Sobota

Już po raz czwarty grupa łódzkich plastyków wyjechała w Polskę na tradycyjny letni plener. Ten lipcowy, „twórczy wypoczynek", z dala od zgiełku miasta i czterech ścian pracowni cieszy się wśród łódzkich malarzy dużym powodzeniem. Tym razem do Rawy zaproszono także artystów z Katowic, Gdańska, Krakowa, Poznania i Warszawy — letnie plenery organizowane przez WKZZ, WRN i ZPAP są przecież typowo łódzką „specialite de la maison" — niech więc malarze z innych ośrodków zobaczą, niech upowszechnią u siebie zwyczaj malarskich obozów. Efektem tych trzytygodniowych „wczasów z paletą" jest zawsze ciekawa wystawa, która dociera do najodleglejszych zakątków Ziemi Łódzkiej. A wbrew pozorom Ziemia Łódzka jest piękna, obiektów godnych pędzla mnóstwo.

Niedziela

Operetka jest dobra także na upał. Muza, o której mówi się, że jest podkasana — cieszy się w Łodzi szczególną sympatią. A tu na nas czekają same rodzynki, niektóre stare, ale jare... „Księżniczka Czardasza", „Hrabina Marica" — Kalman się nigdy nie starzeje... Znany i błyskotliwy łódzki kompozytor Piotr („Parasolki, parasolki") Hertel wystawi operetkę „Turniej w Rio de Maracaso"... Ale dość o sztuce, słówko o pieniądzach. Operetka ma fatalne zaplecze i nie może w związku z tym trzymać na afiszu kilka spektakli równolegle. Musi więc grać poszczególne pozycje „do oporu". Sytuacja taka ani dla teatru, ani dla publiczności nie jest wygodna — to jasne. Dobrze więc, że za sporą sumką 7,5 mln zł rozbuduje się Operetce zaplecze. Za trzydzieści pare lat... przepraszam, za półtora roku, jak dobrze pójdzie Teatr będzie już miał „Kuchnię" z prawdziwego zdarzenia.

JERZY WIDOK

Szanowny

Panie Redaktorze

W naszym województwie są dwie Kruszyny — jedna ta nieważna na południowy zachód od Radomska, a druga — ta właściwa — na południowy wschód. Upał, który już od dłuższego czasu uciska gorejącym niebem ziemię jak taranem, widocznie pomieszał nam orientację, bo obraliśmy niewłaściwy kierunek i popędziliśmy do tej nieważnej.

Mimo, że miejscowość była błędnie wybrana — nie żałujemy — bo ujrzeliśmy na drodze obrazek, tak zwany rodzajowy.

Otóż po gorącym asfalcie drogi człapały dwie szkapy, klipu-klapu — stukając powoli kopytami, merdając ogonami, oganiając się od much, kiwając znużonymi od upału łbami.

Chabety były zaprzężone do jakiegoś przedziwnego pojazdu — do niezidentyfikowanego obiektu na czterech kołach. Pojazd wyglądał jak gniazdko, w którym siedziało mnóstwo starych i młodych

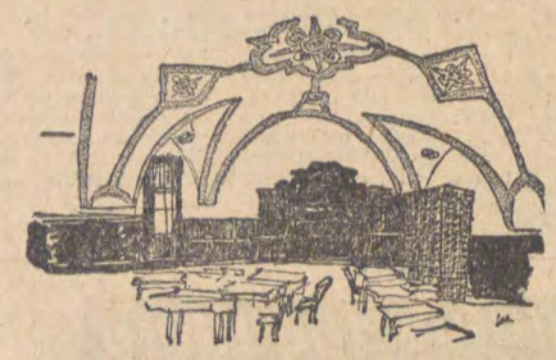

mężczyzn w koszulach — jako, że upał niemiłosiernie rąbał we wszystko co żywe — mężczyźni byli ulokowani jak pisklęta w koszyku — ciasno, poutykani jak się dało. Wśród nich jeden — także w koszuli z zawiniętymi rękawami, ale za to na głowie miał strażacki złoty, wypucowany hełm, jaśniejący jak słońce. To zapewne był komendant. Do pojazdu przyczepiona była na czerwono pomalowana pompa, ziejąca dziurami pustych przewodów — ale bez beczkowozu z wodą; wszystko na sucho.

Cały ten prześmieszny ekwipaż wlókł się noga za nogą i myśleliśmy, że całe to strażackie towarzystwo jedzie na jakiś przegląd sprzętu lub do domu.

Minęliśmy ten zabawny pojazd — poprawiło to nam nawet humory, nadwyrężone już mocno upałem.

Ale po przejechaniu 5—6 kilometrów, ujrzeliśmy chmury dymu unoszące się z palącej się chałupy. I wtedy dopiero zrozumieliśmy, że całe to strażackie gniazdko wcale nie jechało na przegląd sprzętu przeciwpożarowego; podążało na ratunek płonącemu domowi.

Działo się to w okolicy Przymanowa.

Ujechaliśmy dalsze 5 kilometrów — i tu znowu spotkaliśmy traktor z przyczepą, który wolniutko terkotał. Przyczepa napełniona była mężczyznami także w koszulach! byli to zapewne także strażacy, bo prawie każdy na brzuchu miał pas strażacki a poniektóry to nawet toporek. Na bokach i tyle przyczepy wisiały grona poprzyczepianych chłopaków i dzieci jadących na to widowisko. Obrazki były tak komiczne — że przy całej tragedii płonącego dobytku, że (o zgrozo!) zrobiło nam się wesoło.

Gdy stwierdziliśmy, że to nie tą Kruszyna, do której wybieraliśmy się wracaliśmy po jakiejś godzinie z powrotem — dymu już nie było, bo zanim straże dojechały, wszystko już dokumentnie się spłaszczyło.

I przyznam się Panu, że wcale nie żałowałem tego pomyłkowego kierunku — bo takich widoków nie widzi się co dzień.

Zawróciliśmy więc z pośpiechem znowu do Radomska i gnaliśmy, aby nadrobić stracony czas — do tej Kruszyny właściwej, gdzie jest pałac, o którym się dużo słyszy i to nie za dobrze.

W kurzu, spiekocie, jak południowe planetniki, ledwie żywi z duszącego upału dopadliśmy wreszcie — pytając tu i ówdzie mimo mapy — o pałac, wjechaliśmy przez zdewastowaną bramę na obszerny dziedziniec, porośnięty starodrzewem, na którym pałac, mimo pogodnego słońca

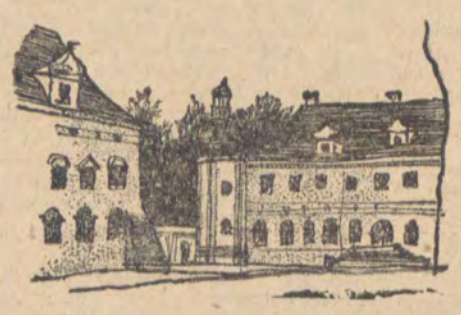

sprawiał dość ponure wrażenie. Cały kompleks budynków, w którym urządzono Dom Dziecka. Dzieci — od maluchów począwszy aż do 18 lat — dzieci, które posiadając rodziców, muszą być umieszczane w innym domu niż rodzicielski; musiano zorganizować im ten dom chroniąc je od rodzicielskich wpływów; dzieci odebrane rodzicom, niezdolnym do wychowania swego potomstwa.

A budynek — może jeszcze nie zrujnowany, ale chylący się ku upadkowi — opuszczony, pozaciekany i odrapany. Wnętrze pokaleczone scyzorykiem, porysowane, zaniedbane — widać, że ten zabytek nikogo nie interesuje.

Wierzę, że czuwanie personelu wychowawczego nad 70 dzieci jest ciężką pracą, i nie starcza już czasu na inne sprawy, zresztą pedagodzy nie są powołani do dbania o zabytki — ale co na to Wojewódzki Konserwator, pod którego opieką bądź co bądź musi się znajdować ten obiekt?

— Chyba już najwyższa pora, aby się tym zająć, bo maluczko, a czas i młodzież, dokonają szybko dzieła zniszczenia.

Pałac przypomina trochę Nieborów — zwłaszcza elewacja ogrodowa z dwoma wieżami po bokach.

Za pałacem piękny, ale bardzo zaniedbany park. Z ogromnymi, różnorodnymi drzewami — starannie przez dawnych właścicieli dobieranymi. Obydwa stawy — które na pewno dawniej były ozdobą tego kompleksu architektonicznego, teraz przypominają jeden buro-zielona gnojówkę, do której powpadały suche drzewa; drugi błotnistą, czarną maź, taka jaką przedstawia zniszczony przez przemysł Ner. W tych obrzydliwych bajorach pływają tylko kaczki i co młodsze chłopaki z tego domu, brodzą w błotnistej wodzie i wspinają się po zanurzonych w wodzie i powalonych pniach — wszystko to zarazem smutne, przejmujące, opuszczone — jak ślady życia, które odeszło i tli się jeszcze gdzieniegdzie w ocalałych murach.

Wnętrze również smutne; na schodach wiszące rzędem portrety (poczet królów polskich?) — porysowane, podrapane; boazerie uszkodzone i miejscami poodłupywane. Pałac chyli się ku nieuchronnemu upadkowi i jeżeli w porę ktoś się tym nie zajmie, zginie jeszcze jeden zabytek, który przedstawia olbrzymią wartość dla naszej kultury.

Mimo, że pogoda była wspaniała i słońce świeciło jaskrawo — jakiś smętek opuszczenia; snujące się postacie smutnych dziewcząt i chłopców wyczekujących, zarówno jak i architektura na ratunek.

Najwyższy już chyba czas, aby tym pałacem zajął się wreszcie Konserwator — bo nie do zniesienia jest myśl, że zginie rzecz, godna zachowania.

Kruszyna jest jakaś wiejska i prymitywna — zostawiona sama sobie na uboczu — którą nikt się nie interesuje.

Chcieliśmy zasięgnąć bliższych informacji u kierownictwa Domu Dziecka — bo jak wół stoi napisane na

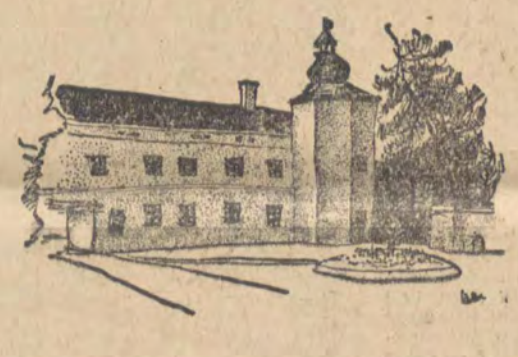

ścianie: „Obcym wstęp wzbroniony".

Ale kierownictwa nie było; była natomiast jakaś komisja (na dziedzińcu stało parę aut); sądzę, że była to komisja raczej od czego innego, a nie od ratowania zabytków.

I nie pozostaje mi zatem nic innego jak przepisać zasadnicze dane z „Katalogu zabytków sztuki w Polsce" — tom II — województwo łódzkie":

„Pałac wzniesiony w r. 1630 przez Kacpra Denhoffa, remontowany w pocz. XIX w. — częściowo przebudowany w 1867 r. przez Lubomirskich.

Budynek pałacowy późnorenesansowy, murowany, piętrowy. Na planie czworoboku, z prostokątnym dziedzińcem, po środku i częścią frontową od północy, wystający ryzalitami z elewacji bocznych oraz z narożnych ryzalitów w formie wież. W fasadzie ogrodowej, na osi której powstał późniejszy portyk z tarasem.

W elewacjach bocznych piętrowe przybudówki po 1867 r. Układ wnętrz obu kondygnacji jednotraktowy. Na osi parteru części frontowej sień główna, otwarte, arkadami filarowymi na podjazd i dziedziniec, wsparte na dwóch filarach, sklepienie kolebkowo-krzyżowe. W narożniku

północno-wschodnim sala jadalna, pomiędzy nią a sienią klatka schodowa.

We wszystkich pomieszczeniach parteru sklepienie kolebkowe, w jadalni i głównej klatce schodowej ozdobione późnorenesansowymi stiukami. Piękne stropy belkowane w. XIX. w glifie okiennym korytarza parterowego od strony dziedzińca, fragmenty polichromii, zewnątrz ściany obiega fryz z tryglifami i strzelnicami kluczowymi, na narożach wież pilastry. Obramienia okienne, niektóre z herbami Denhoffów.

Nad wejściem głównym zwieńczenie marmurowe z tablicą fundacyjną z 1630 roku.

Dachy dwuspadowe, nad częścią frontową czterospadowy; lukarny ze szczytami o żywym konturze. Na wieżach ostrosłupowe hełmy. Dwa kominki z marmuru dąbnickiego oraz portale wczesnobarokowe (druga ćwierć XVII w.) z herbem Denhoff lub Śreniawa-Lubomirski (przekute w XIX wieku).

Piec, boazeria i galeria obrazów — koniec wieku XIX — po bokach pałacu na jego osi podłużnej dwie wieże związane z nim dawniej galeriami, obecnie włączone jako narożniki budynków gospodarczych; wsch. łączy się z pałacem galerią z XIX wieku. Wieże murowane, dwukondygnacyjne, ośmioboczne, zwieńczone hełmami o charakterze barokowym. Wnętrze wieży zachodniej przebudowane; we wschodniej kręcone schody z pomieszczeniem na piętrach o sklepieniu zbliżonym do klasztornego.

Park założony na osi, współcześnie z pałacem, na południe od niego. Regularnie, o renesansowym podziale na kwatery, z rzędami drzew, alejami i altaną lipową. Bogaty drzewostan. Później uzupełniony krajobrazowo rozrzuconymi drzewami.

— Są jeszcze budowle parkowe i zabudowania gospodarcze, ale na razie dajmy już temu spokój. I tak za dużo jak na tak krótki felieton.

— Obecny stan pałacu, jego wnętrze, parku i stawów — przesmutny. Opuszczenie zieje z każdego kąta.

I smutni mieszkańcy — dzieci; jeszcze młodsze jakoś żywiej reagują, zwłaszcza chłopcy, urządzają polowania w zapuszczonym parku lub szukają chłopięcych przygód nad błotnistym stawem.

— Ale starsze, zwłaszcza dziewczęta? — te nastolatki? — chodzą parami i w pojedynkę — raczej snują się wokół zabudowań i w parku.

Jakby na coś czekały.

Wszystkie te elementy: opuszczona architektura i młodzież pozbawiona rodzinnego ciepła mają w sobie coś, od czego zaczyna boleć serce.

Łączę wyrazy szacunku.

WACŁAW KONDEK

Lewym okiem

SPRAWA PILNA

Dwieście to ładna liczba, całkiem okrągła. Ponieważ po raz dwusetny zajmuję na tym miejscu uwagę Czytelników, chciałbym to zrobić tym razem jakoś tak fundamentainie a niefrasobliwie, zasadniczo a krotochwilnie, żeby i zadumać, i nie znudzić. O czym by więc... może — bagatela — o szczęściu?

Ostatecznie przecież zawsze i wszędzie chodzi o to, żeby człowiek był szczęśliwy. Darujmy sobie odrobinę patosu, jaki pobrzmiewa w tym słowie. Cel jest daleki, a oddalenie zawsze upatetycznia. Do tego dalekiego celu świadomie lub nieświadomie, z premedytacją lub instynktownie, pchamy się od tysięcy lat, różnie go nazywając, w różnych szukając regionach. Profesor Tatarkiewicz napisał całe grube filozoficzne tomisko o tym, jak różnie można pojmować szczęście. Jest tam przytoczona i taka, minimalistyczna definicja, że szczęście to po prostu brak przykrości. Śpisz na przykład, nic cię nie boli, łóżko wygodne, żadne zmory się nie śnią — czego ci brak do szczęścia?

Taką definicję wymyślił zapewne jakiś zupełny abnegat. Normalni ludzie chcą jednak świadomie poczuć, pomyśleć, zapamiętać, że są szczęśliwi, choćby czasami, choćby na krótko. Mają prawo, i to prawo tak zasadnicze, że wielki myśliciel angielski, Bertrand Russell, w kapitalnej, pełnej paradoksów rozprawie „o szkodliwości cnotliwych ludzi" doszedł do wniosku, że jedynie i naprawdę cnotliwym jest tylko ten, komu do osobistego szczęścia niezbędne jest, aby jak największa liczba osób wokoło była szczęśliwa.

Pozostaje tylko — jak zwykle — drobiazg: jak to zrobić? Trudno byłoby sformułować receptę, gdyby nie Fabryka Pomp do wszelkich płynów, węży gumowych oraz narzędzi ogniowych w Warszawie, Kopernika 33. Dla ścisłości w przedwojennej Warszawie. Właścicielem tej fabryki był pan Stanisław Trębicki, zajmujący się w wolnych chwilach ulepszaniem świata poprzez serię wydawanych własnym sumptem, pouczających książeczek. W długiej i niezmiernie różnorodnej serii tych dzieł, od pożyczek państwowych, przez szkolnictwo, naprawę finansów i pożarnictwo krajowe, doszedł pan Trębicki w 1925 roku do pozycji czternastej pt. „Prawo do szczęścia". Oto, jaką konkluzją kończą się stustronicowe rozważania.

„Że idee w tej książce w ten sposób propagowane rzeczywiście zawierają składniki szczęścia, wykazuje to niżej w sposób popularny, który choć bardzo prymitywny, mimo to jednak, jest bliski prawdy. — Więc:

1) Gdyby obowiązywały inne zwyczaje w stosunku do starszego pokolenia, spędzalibyśmy późniejszą epokę życia w sposób przyjemniejszy. Można sobie wyobrazić, że ludzkość byłaby szczęśliwszą z tego powodu mniej więcej o 10%

2) Gdyby młodzież nie musiała pracować w tak uciążliwych warunkach, jak obecnie, przykuta na długie lata do ław szkolnych, odbiłoby się to na jej szczęściu także mniej więcej o 10%

3) Gdybyśmy opiekowali się lepiej rasą ludzką, przy lepszym zdrowiu, bylibyśmy także szczęśliwsi mniej więcej o 10%

4) Gdyby połowa ludzkości, kobiety, nie były tak ograniczone w prawach, jak obecnie w niektórych krajach, dałoby to także lepsze skutki dla ogólnego szczęścia mniej więcej o 10%

5) Gdybyśmy zamiast upośledzenia pracy ideowej otoczyli ją czcią należną, szeregi jej zwolenników byłyby liczniejsze. Dałoby to w skutkach także więcej szczęścia o jakieś 10%

6) Gdy unicestwimy wojny, nie będziemy zabierać co jakiś czas życia i majątku niektórym obywatelom, uszczęśliwimy ludzkość także co najmniej o 20%

70%

Brakowałoby tylko 30% do absolutnego szczęścia...".

Oczywiście, wyliczenie powyższe jest tylko orientacyjne i tylko tak zechcą je Czytelnicy potraktować. Na pewno zawiera błędy, być może do absolutu zabraknie trochę więcej niż 30%, być może też, że stawki za pokój, za lepsze zdrowie i za stosunek do starców wycenione zostały za nisko, a stawka za zwolnienie młodzieży od nauki — za wysoko. Podajemy jednak próbę pana Trębickiego, nie siląc się na zbytnią powagę, jako próbę pionierską. Może ktoś ją uaktualni, ulepszy? Sprawa pilna!

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1951. VII. 1968. P-5.